KACHNA.

Obrazek ludowy w 3. aktach.

Napisała
z Bardzkich Anna Karwatowa.
Muzyka Stanisł. Ogurkowskiego.



Wydanie trzecie.

NAKŁADEM KSIĘGARNI A. CYBULSKIEGO W POZNANIU.
CZCIONKAMI DRUKARNI „DZIENNIKA POZNAŃSKIEGO“ T. A.
1926.

BIBLJOTEKA
№ 39.
ANTONIEGO NAWROCKIEGO

EGZEMPLARZY NIE NISZCZYĆ!

Wszelkie skreślenia, poprawki, wpisywania itp. należy uskuteczniać ołówkiem czarnym lub kolorowym niechemicznym.

Zz2004914804

KACHNA.

Obrazek ludowy w 3. aktach.

Napisała
z Bardzkich Anna Karwatowa.
Muzyka Stan. Ogorkowskiego.



Wydanie trzecie

NAKŁADEM KSIĘGARNI A. CYBULSKIEGO W POZNANIU.
CZCIONKAMI DRUKARNI „DZIENNIKA POZNAŃSKIEGO": T. A.
1926.

50,-

OSOBY:

JAKÓB, włościanin.
KACHNA, jego córka.
STANISŁAW, włościanin.
JAN, syn jego.
RÓZIA.
DOROTA, stara wieśniaczka.
FRANEK.
MOSIEK.
WŁOŚCIANIE i WŁOŚCIANKI.
ŻYD, muzykant.

Rzecz dzieje się w wiosce włościańskiej.

BIBLJOTEKA UNIWERSYTECKA ŁÓDZKIEGO
M 38401
M 38401
Lk 3731/2012
14.12.

BIBLJOTEKA
№ 39.
ANTONIEGO NAWROCKIEGO

AKT I.

Izba Jakóba: obrazki na ścianie, zegar, stół pod oknem, kilka stołków, szafa za szkłem z talerzami i kubkami. Po prawej stronie okno, po lewej i środkiem drzwi.

SCENA I.

Dorota i Rózia (wchodzą środkiem)

Dorota.

A co, Róziu, ładna Kachna?

Rózia (z przekąsem).

Dziś się wystroiła, to i ładna.

Dorota.

Ładna, bo dobra! Czy nie wiesz, Róziu, że cnota jaśnieje z twarzy człowieka, a dusza, jak w lustrze, odźwierciedla się w oczach ludzkich? Piękna szata niczem... ustrój kij, to jednak kijem zostanie; wsadź kozie złotą koronę, ona ci jednak nie zaśpiewa, tylko zabeczy.

Rózia.

Prawdę mówicie, Doroto, ale szata zawsze przystroi; dlatego też Kachna lepiej

się teraz ubiera, bo chce się przypodobać Jasiowi... zresztą lubi się też stroić.

Dorota.

Chociażby Kachna i w łachmanach chodziła, to Jan powinien wiedzieć, że pod tą ubogą szatą kryje się perła drogocenna. Mylisz się, Róziu, Kachna nie lubi się stroić, jej suknia zawsze skromna, ale czysta, jak jej sumienie... Dzisiejsza szata, to podarek od ojca na zaręczyny jedynej i ukochanej Kachny.

Rózia.

Doroto, stara jesteście, więc doświadczona; powiédzcie otwarcie, czy Jaś Kachnie szczerze w oczy patrzy?

Dorota.

Widzę, jaszczurki lęgną ci się w mózgu! Myślisz, że jej nie kocha? A pocóżby nie? Dobra, piękna i bogata z niej dziewczyna.

Rózia.

Bogata... prawda, ale są od niej piękniejsze! (na stronie) Zwierciadło w komorze mówi: „Róziu, tyś ładniejsza!“

Dorota.

Nie wiem, czy na jakim dachu siedzi piękniejszy gołąb od Kachny!

Rózia.

W niedzielę przy tańcu nakładają mi chłopcy pochwał pełne uszy... tak, że cały tydzień pamiętać muszę, Doroteńko kochana; ale nie mówcie tego nikomu, że jam... (śmieje się) najśliczniejsza z całej wioski!

Dorota (z przekąsem).

Jakaś to pyszna ze swojej urody! Podobne głupstwa tylko też chłopcy nagadać ci mogą, bo pod czupryną nie mają jeszcze mózgu twardego... tylko galaretę!

Rózia.

Galaretę? co to galareta?

Dorota.

Powiem ci, posłuchaj. Jako dziewczyna sługiwałam po dworach i widziałam, jak kucharz przyrządza wino i szczupaka w galarecie. Galareta to takie trzęsawisko; jak się poruszy, to drży (trzęsie Rózią) tak, jakby twoje tłuste liczko.

Rózia.

Aj! aj! już spamiętam dobrze — galareta to szczupak w trzęsawisku; ale, Doroteńko kochana, doktor nam tłomaczył kiedyś, jak brat chorował na zapalenie mózgu, że mózg nie jest twardy, tylko miękki; a i gęś, owca i cielę mają mózg miękki.

Dorota.

Co tam doktorzy; oni więcej mówią, niż umieją. Gęś, owca i cielę mogą mieć mózg w galarecie, ale człowiek powinien mieć mózg jędrny! Skoro i ty, Róziu, nabędziesz rozumu twardego, to lepiej mi się podobać będziesz, bo dziś mnie, starej i doświadczonej kobiecie, wcale nie przemawiasz do serca.

Rózia (urażona).

Ho, ho!

Dorota.

Wiem, co kwiat a co zielsko; kwiat wsadzę do szklanki i postawię na stole ku ozdobie, a zielsko... rzucę w kąt! (na stronie) Tom jej dała, — ale ładny z niej nicpoń.

Rózia (złośliwie).

Szkoda wielka, że wam się, Doroteńko, nie udałam... (rusza ramionami) a możeby mi się na co i przydało?!...

Dorota.

Dlaczegożby nie? Nie obrażaj się; jeszcze nikogo nie powiesili, ani nie udusili! Nie gardź zwiędłą gałązką, bo jak świeżej nie będzie, wydobędziesz ją z kąta.

Rózia (zagniewana).

Zwiędłych liści i starych rupieci nie lubię, — wyrzucam zaraz na śmieci.

Dorota.

Języczkiem zamiatać umiesz. Powiem ci na ucho, (mówi Rózi na ucho, ta się cofa) że... że... że i ty będziesz starym rupieciem! Lecz cicho, ani słowa więcej! Idą goście Jakóba, dziwy sobie o nas pomyślą. (stają na uboczu)

SCENA II.

Dorota — Rózia — Jakób — Stanisław — Kachna — Jan — Włościanie i Włościanki (wchodzą z lewej strony).

Jakób (staje pośród włościan, przy nim Stanisław, Kachna i Jan).

Doczekałem się dziś wielkiej pociechy, moi kumowie, bo zaręczyn mojej Kachny. Chodź, córko moja, (całuje Kachnę w głowę) i ty, mój Janie... (wkłada im pierścienie) Kochajcie

się, dziatki, tak, jak i my kochaliśmy się z twoją matką, Kachno, z ukochaną moją nieboszczką Anulką.

Stanisław (całując Jana i Kachnę).

Niechaj wam Bóg błogosławi! Ale cóż to?... twarze wasze smutne... dziś, przy zaręczynach?

Kachna.

Jam szczęśliwa w duszy mojej, (ciszej) kocham Janka.

Jan.

A ja ciebie, moja Kachno.

Jakób.

Słowem się nie rozweselimy; miodu, piwa dajcie, — Doroto, a zawołajcie Mośka i drugiego żydka, — niech zagrają krakowiaka.

Dorota.

Idę, idę. (odchodzi w lewo)

Jakób.

A Franek gdzie?

Kachna.

Nie widać go od rana... (na stronie) Dlaczego on smutny?

Jakób (na stronie).

Biedny Franek, żal mi go; ucieka dziś od nas, unika nas... straszny ból w jego sercu gości! Cóż ja zrobię? Udaję, że nie widzę tego.

Rózia.

Widziałam Franka dziś rano wkościele, a później pod lasem. (do Kachny) A wiesz, dlaczego on smutny i dlaczego się dziś tak modlił?

Kachna.

Może mu się coś niedobrego śniło, albo ma złe przeczucie.

Rózia (śmieje się).

Ha, ha, ha, (cicho do Kachny) bo ciebie kocha, a ty obchodzisz dziś zrękowiny innym!

Kachna (przestraszona).

Cicho, Róziu! zdawało ci się...

Rózia.

Mam dobre oczy.

Kachna (na stronie).

Biedny, biedny Franek.

SCENA III.

Rózia — Kachna — Jakób — Stanisław — Jan — Włościanie — Włościanki — Mosiek — Żydzi muzykanci — (wchodzą z lewej strony).

Żyd muzykant.

Już biegnimy, już lecimy grać panom.

Mosiek.

A mazury, krakowiaki takie piękne, że palce nie będą chcieli ziemi tykać, a pięty na jablonie skoczą! aj! aj! Nu, para mloda, niechaj Mosiek powinszuje: „Żebyś kwitla i rosla jak zlota pszenica na zagonie!“

Kachna.

Dziękujemy ci, Mośku.

Jakób.

Zagrajcie teraz wesoło, żeby we wszystkie serca wstąpiła otucha.

(Żydzi grają krakowiaka, reszta staje parami, Jan z Kachną przodują.)

Śpiew n. 1.

Krakowiak.

Jak na drzewie jabłko
Słońce zaczerwieni,
Tak dziś pierścień złoty
Kachnę nam rumieni.

Oj dana, oj dana,
Żyj, Kachno kochana!
Oj dana, i t. d.

Ptaszek zaświegoce,
Gniazdko gdy buduje,
Janek też radosny,
Kachnę swą miłuje.

Oj dany, oj dany,
Żyj, Janie kochany,
Oj dany, i t. d.

Kwiaty rosną w niebo,
Słońce je ogrzewa,
Naszem słońcem miłość.
Niechaj każdy śpiewa:

Oj dana, oj dana,
Miłości kochana!
Oj dana, i t. d.

(po każdej zwrotce tańczą)

SCENA IV.

Rózia — Kachna — Jakób — Stanisław — Jan — Włościanie — Włościanki — Mosiek — Żydzi muzykanci — Dorota (z dzbankiem i kubkami).

Jakób.

Nalejcie, Doroto. (Dorota podaje kubek Jakóbowi) W ręce twoje, Stanisławie, stary kumie; niech nam żyją nasze dziatki! (pije, Dorota nalewa i podaje)

Wszyscy.

Niech żyją!

Stanisław (pije)).

Ja do ciebie, miła Kachno.

Kachna (pije).

W usta twoje, drogi Janie.

Jan.

Niech żyje Dorota, co miodu nawarzyła! A wieczerza będzie dobra, co, Doroto?

Dorota.

Oj, doskonała! Baranina ze śliwkami, a słodko przyprawna, bo ojciec Jakób cukru nie żałował; dalej ryż z rodzynkami, a tego tak wiele, jak much, co naszły w garnek z miodem; a potem jeszcze gęś pieczona, placek jaki pulchny.

Wszyscy.

Niech żyje Dorota! Dobrze gnatki parzy.

Dorota.

Nie mnie z tego chwała, że dobrze zjecie; to sprawka ojca Jakóba; jemu zagrajcie, Mośku, a dam wam wódki.

(Żydzi grają dalej krakowiaka, reszta śpiewa.)

Śpiew nr. 1a. (dalszy ciąg)

Jako księżyc jasny
Swoim blaskiem świeci,
Jakób, cnotą sławny,
Miłość pracy nieci.
Oj dana, oj dana,
Praco ukochana!
Oj dana, i t. d.

(tańczą jak przedtem)

Jakób.

Bóg zapłać za piosnki; należy wam się teraz nagroda za trudy. Chodźmy spróbować przechwalanych potraw naszego kucharza, Doroty.

Dorota.

Proszę... (prowadzi wszystkich na lewo) wszystko smaczne i kruche, gęś jabłkami wypchana, a kapusta jaki kwasik ma przyjemny! (wychodzą)

SCENA V.

Franek (sam — wchodzi po chwili środkiem).

Franek.

Poszli... lepiej mi będzie tu bez muzyki. Zdala słyszałem gwar i śpiew... i było mi smutno, oj, bardzo smutno! (po chwili) Mój Boże, jam inaczej marzył... (siada przy stole, podpierając ręką głowę) Kachno, gdyś była maleńką dzieweczką, a ja chłopakiem sporym, pomagałem ci nieraz przebywać rowy, wdrapywać się na góry; szukaliśmy

razem kluczyków i fiołków. Zmęczeni spoczywaliśmy na trawie, ty wesoła, szczebiotliwa jak ptaszyna, ja smętny u nóg twoich. Patrzyłem to w oczy twoje, to na fiołki; twoje oczy były piękniejsze. — Kachno, nieraz zerwałaś pokrzywę i rzuciłaś ją w twarz moją, aby mnie rozweselić; pokrzywy były wtedy dla mnie najpiękniejszemi kwiatami, boś ty mi je dała! (po chwili) Gdy ojciec twój mnie łajał, tyś mnie broniła i zasłaniała od kary... Kachno, czy nigdy w tej miłej główce ta myśl nie zawitała, że może... może mnie lubisz choć trochę? (rozpaczliwie) Boże! dziś twe zaręczyny! — Ojciec ciebie przeznaczył dla Jana; mówiłaś, że wybrałaś go sobie sama, że go kochasz... myślałem, że mi serce pęknie w tej chwili!... (wstaje i chodzi) Nie mogę dziś patrzeć na ojca Jakóba... (z naciskiem) Jam niewdzięczny! On mnie, sierotę, przytulił do swego ogniska, gdy matka biedna odumarła... a ja? Za chleb jego łaskawy płacę mu żalem!... Na łożu śmierci mówiła matula: „Synu, ty biednym i samotnym zostajesz wśród ludzi, cokolwiek będziesz miał, będzie z ich łaski. Pamiętaj odpłacać im szczerą pracą i kochać ich za to.“ (po chwili) Przebacz, matko, już ci nie przerwę spokoju w grobie... będę i nadal pracował pilnie Jakóbowi. (siada) Czasami tylko pójdę poskarżyć się tym ptakom i lasom, które mnie tak często widywały z Kachną. Powiem im, żem ubogi... że nie śmiałem powiedzieć Kachnie, że ją kochałem... kocham... Może piosenki ptaszą do snu mnie ukołyszą... choćby do snu wiecznego!

SCENA VI.

Franek — Dorota.

Dorota (wbiega, nie widząc Franka).

Gdzież ten Franek? Rozumiem jego sieroctwo, jego ból.

Franek (wstaje).

Jam tu, Doroto; mówiliście, że mnie rozumiecie?

Dorota.

Tak, mój synu, bom ja też sierota.

Franek.

Bóg wam zapłać za to, że nieraz osładzaliście mi sieroctwo, chociaż... jam niegodny serc waszych!

Dorota.

Co ty pleciesz! Jeszcze nikogo nie powiesili ani nie udusili! Niema lepszego chłopca nad ciebie, Franku. (siada) Gdy mnie stary ojciec Jakób przed ośmiu laty do swej przytulił chaty, po śmierci męża, mego poczciwego Marcina, jako wdowę i schorowaną kobietę, gdy mnie wypielęgnowała Kachna i ty, mój Franku, poznałam od razu, jakie zacne dusze mieszkają pod tym dachem.

Franek.

Ale mnie do nich nie zaliczajcie.

Dorota.

Ciekawa jestem dlaczego?

Franek (z boleścią).

Bo jestem niewdzięczny! Nie mogę się dziś cieszyć szczęściem Kachny... nie mogę dziś patrzeć na ojca Jakóba

Dorota.

Biedny chłopcze, rozumiem cię... to nie niewdzięczność, Franku, Bóg cię pocieszy.

Franek.

Nie mogę żądać cudów od Boga dla siebie, małego robaczka.

Dorota.

Wszystko w Jego ręku! Ale zwalcz się, synu mój, człowiek dużo z siebie zrobić może, a ty duszę masz hartowną jak stal.

Franek.

Napróżno, Doroto, pragnę zapomnieć o wszystkiem, lecz nieszczęsne marzenia powracają i prześladują mnie dniem i nocą. Nic nie wydrze Kachny z serca mego.

Dorota.

Kochaj ją jak siostrę.

Franek.

Za mało, Doroto, kocham ją jak anioła, bo nieraz była stróżem moim, gdy źli ludzie do grzechu mnie wiedli... jej niewinna twarzyczka odpędzała wszelkie pokusy.

Dorota.

Szanuj ją jak drogi sercu obraz, lecz zwróć się do innej. Przypatrz się Rózi, jaka ładna i wesoła!

Franek.

Rózia?... Nigdy!

Dorota.

Dlaczego?

Franek.

Rózia niknie przy blasku cnót Kachny Dziewczę wtedy najpiękniejsze, gdy w swe niewinności rumieni się jak wiśnia.

Dorota.

Kachna wzorem jest skromności, Rózia próżna i za śmiała. (na stronie) Jak to dobry chłopiec, choć młody, cnotę ocenić potrafi (głośno) Franku, żal mi cię tu zostawić smutnego. Chodź z nami zjeść wieczerzę i rozweselić się miodem; chodź, bo mnie pójść trzeba, ojciec Jakób lada chwili mnie zawoła.

Franek.

Zostawcie mnie, Doroto; tu mi najlepiej... ale o jedno was proszę.

Dorota.

O co, mój serdeczny chłopcze?

Franek.

Nie mówcie do nikogo o naszej rozmowie, nie powiadajcie ludziom, że kocham ją jak szalony. (ukrywa twarz w dłoniach)

Dorota.

Franku... Franku!

Franek.

Boże! nie opuszczaj mnie! (słychać wołanie Jakóba, za sceną: „Doroto, Doroto“!)

Dorota.

Już odejść trzeba, wołają mnie, — Franku otrząśnij się z żalu.

Franek.

Pomódlcie się za mnie, Doroto.

Dorota.

Dobrze, poczciwy chłopcze, ale i ty winieneś być szczęśliwym jeszcze. (wychodzi na lewo)

SCENA VII.

Franek — (później) *Rózia i Jan.*

Franek.

Szczęśliwym! ja? Nigdy, bo ja jestem sierotą! Chociaż ludzie godni przygarnęli, to sierotą zostanę... Ojczyzną moją i szczęściem mojem nie ziemia... (wskazując w górę) lecz niebo! (usuwa się w głąb okna)

(Rózia wchodzi szybko środkiem, za nią Jan, idą na przód sceny, nie widząc Franka.)

Rózia.

Janie, idź do swej Kachny, masz jej pierścień na palcu; nie prześladuj mnie.

Jan.

Róziu, Róziu, słóweczko! Wiesz, że cię kocham nadewszystko.

Franek (z oburzeniem na stronie).

Co słyszę?! I takiego człowieka Kachna kocha?!

Rózia.

Te same przysięgi składałeś Kachnie, a teraz śmiesz je mnie powtarzać?!

Jan.

Ojciec mnie zmusza... Kachny kochać nie mogę... tyś jedna mojem słońcem. Róziu...

Rózia (przerywając).

Podłym jesteś, bo chociaż jej nie kochasz, to żenić się z nią chcesz dla pieniędzy.

Jan.

Zrozumiej mnie, Róziu, ojciec każe, ja muszę.

Rózia.

Ty niedołężny człowieku, pozwalasz się prowadzać na łańcuchu i okłamujesz ludzi.

Jan.

Widzisz, że jestem nieszczęśliwy... więc mnie pociesz i kochaj.

Rózia.

Tak, chciałbyś pobawić się ze mną a żenić z Kachną... dziękuję. (tupie nogą, odchodząc w lewo)

Jan (błagalnie).

Rózieczko, nie oddalaj się tak zagniewaną. (odchodzi za nią)

Franek (z oburzeniem).

Krew mi się ścina w żyłach, gdy widzę Jana! To ma być mąż dla mojej ukochanej Kachny, to ma być opiekun mego najdroższego skarbu?! (po chwili) Nie, na to nie pozwolę!... Pójdę do Jakóba... wyznam jak ojcu... Nie, nie mogę tego uczynić... odczekam, lecz idę ich śledzić. Nie, i to niegodne, nie zrobię tego. Boże, Boże, dopomóż mi, strzeż mojej Kachny! A ty, łotrze, przysięgam, odpowiesz mi za każdą krzywdę wyrządzoną Kachnie. (wybiega środkiem)

SCENA VIII.

Jakób — Stanisław (wychodząc z lewej strony z kubkami miodu).

Jakób.

Pij, Stanisławie, leniwym dziś jesteś do dzbana, jakby w nim była trucizna, a to miodek wyśmienity.

Stanisław.

Piję dużo, serdeczny kumie, ale więcej cieszy się me serce z tego, że z Jana i Kachny będzie para, a śliczna para.

Jakób.

Co prawda, to prawda, że dobrą będzie miał żonę. Nie chwalę jej dlatego, że jest moją córką, ale należy jej się sprawiedliwe ocenienie za jej pracę, skrzętność, skromność, troskliwość dla ojca i biednych.

Stanisław.

Oj to, to, to, aleć i mój chłopak pracowity i oszczędny.

Jakób.

Bogu dzięki za to; nie będą mieli biedy. Pracowałeś ty na Jana, ja na swoją Kachnę; owoce dwojga spracowanych rąk będą złączone. Kiedy tak już mówimy otwarcie, to powiem szczerze, co Kachnie dam w posagu: — Krówki cztery, na pięć łóżek pościeli, a złotych 10,000 pod poduszkę. Po mojej śmierci może więcej, gdy sprzedam chatę, bo co mi już teraz po niej.

Stanisław (na stronie).

Ślicznie, ślicznie, Jaś będzie bogaty! Dobrze szukał. (głośno) Znanym zawsze byłeś z pracy, nasz kochany Jakóbie; widzę, Bóg ci też pobłogosławił.

SCENA IX.

Jakób — Stanisław — Kachna.

Kachna (wbiegając z lewej zadyszana).

Oj, tatulu, wesoło tańcujemy, już tchu... mi... nie staje...

Jakób.

Dobrze, dziewczę moje; bądź mi zawsze tak swobodną, jak w tej chwili.

Kachna.

Wszystkie dziewczęta wesołe, parobcy śpiewają i tańczą, tylko Rózia jakaś zadąsana, a Franka to już wcale nie widać.

Jakób.

Franek widocznie chory... niepokoi mnie... niechżeż go poszukają... Wyciągnij go do tańca.

Kachna.

Jana wyślę po niego.

Stanisław.

A Jaś czy tańczy żwawo?

Kachna (smutnie).

Oddala się od nas, tańczy mało, często wychodzi do sadu; nie wiem czy chory... może go boli głowa?

Stanisław.

Zagadał się z kim, — pójdę zobaczyć...

(odchodzi w głąb)

SCENA X.

Jakób — Kachna — (później) Dorota i Włościanki.

Jakób.

Powiedz mi szczerze, córko moja, czy szczęśliwy dla ciebie dziś dzionek?

Kachna.

O, szczęśliwy! Dziś czerwieńsza dla mnie wiśnia, dziś jaskrawsze dla mnie słońce, ta izba weselsza, bo kocham szczerze mego Jana, bo wiem, że już do mnie będzie należał.

Jakób.

A dziś z rana byłaś smutna?

Kachna.

Bo myślałam o tem, że wkrótce was opuścić przyjdzie... a wy jesteście starzy, tatulu, skołatani, potrzebujecie opieki. Ktoby wam gotował, ktoby was oprał, łóżko posłał? Ale wiem, będziecie u waszej Kachny, tatulu, czy tak? (całuje Jakóba

Jakób.

Niech ci Bóg błogosławi za twe serce Nie opuści cię twój stary ojciec, bedzie czuwał i nadal przy tobie.

Kachna.

O, teraz już jestem prawdziwie szczęśliwą, bo będę miała ojca i Janka pod jednym dachem.

Jakób.

Cieszy mnie twój uśmiech, lecz chciałbym, żeby i drudzy odczuli twoje szczęście.

Kachna.

Janek, dziś nie swój, może za wiele ludzi wokoło nas — gdy tak sobie sami gawędzimy, jest serdeczny.

Jakób.

Ale Franek dziś mi się nie podoba.

Rózia (z współczuciem).

Oczy jego pełne łez... sama nie wiem, dlaczego mi go tak żal?

Jakób.

Bo przeczuwasz, że dusza jego cierpi; a godzi się mieć z nim współczucie, bo to uczciwy chłopiec, czysty jak łza w swych chęciach i zamiarach. Przypatrywałem mu się nieraz; — wstręt czuje do wszystkiego, co złe i podłe.

Kachna.

Tak chwalicie, tatulu, Franka, że mnie aż zazdrość bierze o Jasia, a przecież kocham Janka.

Jakób.

Dlatego, że ty go wybrałaś i kochasz, i on stanie się dobrym; dziś jeszcze trochę młody, lecz ty go zmienisz, moja Kachno.

Kachna (smutnie, z wyrzutem).

Tatulu, wy więcej kochacie Franka.

Jakób.

Bo go znam od dziecka.

Kachna (całując Jakóba).

Nie, tatulu, wy więcej powinniście kochać Jasia, bo on będzie mężem waszej Kachny.

Jakób.

Zależeć to będzie od twego szczęścia.

Dorota (wchodzi z lewej strony z włościankami).

Kachno, chodź, pomóż nam rozwesilić Franka; wyciągnijmy go do tańca, bo usiadł w kącie i ma straszną minę.

Jakób.

Chodźmy wszyscy go rozruszać. (wychodzą na lewo)

SCENA XI.

Stanisław i Jan (wychodzą środkiem).

Stanisław.

Biegasz jak opętaniec za Rózią! Pamiętaj, że ludzie mają oczy, że

mają język, by ciebie przed Kachną obmówić.

Jan.

Ho, ho, Kasia zanadto mnie kocha; ludzkie gadanie nic nie pomoże.

Stanisław.

O taką żonę nie tak łatwo! Pięć łóżek pościeli, cztery krowy, 10,000 złotych pod poduszkę... mówił stary.

Jan (podskakując).

10,000! oj nasza!

Stanisław.

Ciesz się, bo będzie wam dobrze, ale ostrożnie z Rózią i z Dorotą — i z Frankiem, bo on dziś kryje się po kątach i ma dzikie oczy.

Jan (śmiejąc się).

Ha, ha, ha... (ze wzgardą) to głupiec! Do nikogo słowa nie mówi.

Stanisław.

Tyś głupcem, bo nie widzisz, co się wkoło ciebie dzieje.

Jan.

A co ojciec widzi?

Stanisław.

Że Franek dziś łzy leje, bo kocha Kachnę.

Jan.

On? Ha, ha, ha, sierota taki... nie jest niebezpieczny; Kachna bogata, nie wyjdzie za wychowanka.

Stanisław.

Chociaż Kachna za niego nie wyjdzie, ale on ciebie dla niej pilnować będzie, czy rozumiesz teraz?

Jan.

Tak źle nie będzie, chodźmy raczej potańcować, — szkoda czasu.

Stanisław.

Słuchaj uważniej, — ty zawsze masz młyny w głowie.

Jan.

A no... bo nudno... czy jeszcze co?

Stanisław.

Szanuj Jakóba, bądź serdeczny dla niego, bo Kachna bardzo kocha ojca.

(Mosiek wchodzi środkiem, zostaje w głębi i słucha)

Jan (szarpie się).

I to mam czynić i tamto robić, sam już nie wiem co?!... Jeszcze i staremu nadskakiwać!

Stanisław.

Wolałbyś bawić się z Rózią! nie zrobisz tego, rozumiesz?

Jan.

Ojciec żąda za wiele.

Stanisław.

A chcesz mieć posagu 10,000?

Jan.

Naturalnie.

Stanisław.

Głupcze, więc pilnuj swego szczęścia, bo samo ono do ciebie nie przyjdzie.

SCENA XII.

Stanisław — Jan — Mosiek.

Mosiek (zbliżając się do nich).

Szukam was, a wy tu. Dlaczego nie tańczy Jan? Młoda stoi smutna, to trzeba z nią potańcować, trzeba się umizgać.

Jan.

I wy, Mośku, prawicie o kochaniu?

Mosiek.

Jakże nie kochać i nie umizgać się do takiego kwiatu?... dziewczyna jak świeca!

Jan (śmiejąc się).

Może taka łojowa, jaką w szabes palicie?

Mosiek.

Lojowa, czy nie lojowa, ale fajn panna, podobna do mojej Sary.

Jan.

Zwarjowaliście, Mośku, czy co?

Mosiek.

Nie, teraz, nie, ale jak Sara byla mloda, byla ona też fajn panna, mówię wam. Byla szeroka w plecach jak stodola, (pokazuje rękoma) a w pasie cienka jak śledź wimoczone. Ale i ja bylem galanty; dygnęlem w prawo, (dyga) dygnęlem w lewo, nie tak, jak wy, Janie, stoicie jak pal, jak drąg! Klaniajcie się więcej. (kłania się) Patrzcie, uczcie się odemnie klaniać.

Jan (naśladuje go i śmieje się).

Ha, ha, ha, pocieszny jesteście, Mośku.

Stanisław.

Prawdę mówi Mosiek, za mało starasz się podobać Kachnie.

Mosiek.

Pamiętajcie, Janie, że Stanislaw, wasz ojciec, obiecal Mośkowi 100 złotych, jak was wyswata z Kachną! Rozumiecie teraz? Jak będziecie glupstwa broili, a mlodej nie popilnujecie, to wam 10,000 zlotych fiut! (przejeżdża ręką pod nosem) A Mośkowi 100 zlotych fiut! Pamiętajcie! Sara dla bachorów chce mieć te 100 zlotych i musi

mieć, bo obiecaliście, a ja wam wierzę. Idźcie teraz pobawić się z mlodą. (do ucha Janowi) Nie gońcie za Rózią, bo ma czary w oczach! Ostrożnie, bo was ludzie widzieli.

(Jan i Franciszek wychodzą w lewo)

SCENA XIII.

Mosiek — (później) *Franek.*

Mosiek.

Glupi ten Jan, ja to dawno mówil. Stanislaw glupi, że taki bachor wychowal, jabym mu dal, gdyby mnie nie sluchal ten mój bachor, albo mnie nie szanowal! Jan... to nie mąż dla Kachny — nic nie wart! Mosiek powiedzialby wszystko Jakóbowi, bo to dobry chlop i dziewczyna dobra, ale Mośkowi żal 100 zlotych. Sara ich chce i musi mieć.

Franek (wchodząc środkiem).

Nie mogę znaleźć cichego kąta — wszędzie pełno ludzi, tu znów żyd natrętny!

Mosiek (spostrzegając Franka).

A, a... Franek! Co wy taki kwaśny? poco? Dziś zrękowiny, weselić się trzeba... hulać!

Franek.

Wiecie dobrze, że jam do hulanki nie stworzony.

Mosiek.

Boś ty nigdy nie próbowal... Spróbuj, a powiesz, że to dobre, że smakowalo.

Franek.

Nie trudźcie się, Mośku, — wasze słowa nic nie pomogą

Mosiek.

Dlaczego nie pomogą? Bo nie slu-chacie, a wam mówil dawno: Na robaka kropnijcie wódki raz i dwa... i trzy... a zobaczycie, że wam milo będzie na sercu i żołądku. (gładzi się po brzuchu)

Franek (z przekąsem).

Tak, kropnijcie wódki i przepijcie to, co zarabiacie, a zbogaćcie Mośka.

Mosiek.

Czy to źle? Wam będzie lżej na żo-lądku i na sercu, a Mosiek zarobi. A czy ja nie mam bachorów, co chcą jeść? Mosiek biedny żyd!

Franek.

Chciałbym mieć te pieniądze, które po-siadacie, a nie byłoby mi dziś tak smutno

na sercu... inaczej postąpiłbym sobie... Mośku. Mośku, wy strasznie chciwi na grosz... duszę utracilibyście dla złotówki.

Mosiek.

Poco duszę? Dusza niech będzie duszą sobie, a złotówka może przynieść dwie i trzy złotówki.

Franek.

A może i dziesięć?!

Mosiek.

Trochę wydrzeć, to nic, to nie zabije, to jeszcze ludzi krzątać się uczy. Można gęś trochę podskubać, ona jednak gęsią zostanie — rozumiecie, Franku? Alboż i wy nie macie pieniędzy? Jakób da, on was kocha, a wy napijecie się wódki i lżej wam będzie. Wiem ja, co wam po-trzeba; na ten ból to wódka najlepsza. Chodźcie, chodźcie ze mną. (ciągnie Franka ku drzwiom)

Franek (ostro).

Nie ruszę się stąd!

Mosiek.

Chodźcie, dam wam wódki darmo; powiem, gdzie ładna i bogata dziewczyna.

Franek (z gniewem).

Żydzie, uchodź, pókiś cały!

Mosiek (potulnie).

Nie gniewajcie się, Franku.. wy szalony dziś! Nu, nu, idę już, idę — tamten się zmęczył, to ja pójdę grać. (wychodzi na lewo)

SCENA XIV.

Franek — (później) *Jan.*

Franek.

To żmija — nie żyd! Ile razy mnie widzi, tyle razy namawia do kieliszka... Nieraz w strasznym bólu byłbym już uległ, ale ten krzyżyk, tu na piersiach, zawieszony ręką matki (całuje krzyżyk) broni mnie od złego i to czyste spojrzenie mojej Kachny. (po chwili) Ciężki to dzień dla mnie, lecz jednę mam pociechę, że stary Jakób kłopotliwie dziś na mnie spogląda, a Kasi oczy, gdy spotkają się z mojemi, wzbierają łzami. Może ona mnie choć trochę kocha?

Jan (wchodzi środkiem podchmielony, nie spostrzegając Franka.)

Głupia sprawa umizgać się do dwóch; jednem okiem strzelam w prawo, drugiem w lewo. Tamta bogata, ta milsza, bo figlarna jak kotka. Stary trąca mnie, Mosiek kiwa zdaleka, by się umizgać do Kachny. Jakób jakiś kwaśny, a Franek... niby ryś, spogląda z podełba. Głupio mi tu w tej niewoli. Gdyby nie 10,000 złotych,

rzuciłbym wszystko i poszedł z Rózią w świat! (spostrzega się) Miód mi zaszumiał w głowie, co myślę, mówię głośno a tu może kto słucha?! (ogląda się)

Franek.

Że słucha, to słucha, i cieszy się, że mu Bóg dał sposobnośc poznania ciebie! (wstaje, zbliżając się do Jana)

Jan (przelękniony).

To ty tutaj? (na stronie, boję się go, tak strasznie patrzy)

Franek (z oburzeniem).

Dziś już parę razy byłem świadkiem twoich podłych słów, byłem świadkiem twoich przysiąg, składanych Rózi, byłem świadkiem twoich kłamstw, wypowiedzianych Kachnie! Kłamcą i oszustem jesteś! łotrem! Pamiętaj, dlatego, że Kachna cię kocha, milczeć będę o wszystkiem, ale przysięgnij! (z naciskiem) że ją szanować będziesz, ją tylko jednę kochać, że Rózię na zawsze porzucisz! Przysięgnij! (bierze Jana za kołnierz, rzucając na klęczki) Przysięgnij! bo inaczej za jednę łzę Kachny jak psu w łeb wypalę!

Jan (trzęsie się z obawy).

Frącku, przysięgam... jeno nie zabijaj!

Koniec aktu pierwszego.

AKT II.

(Izba Jakóba jak w akcie I)

SCENA I.

Kachna (sama — siedząc po prawej stronie, przędzie).

Oj, będziesz już moim, miły Janku! Jak to błogo będzie w naszej chacie, czyściutko i składnie: izba starannie wymieciona, stoły pięknie zmyte, firanki białe jak śnieg, łyżki błyszczące, jak srebrne. Chlebek jasny upiekę dla naszego tatula, a czasami i placek w niedzielę. (po chwili) W święta przyjadą sąsiadki cieszyć się naszem szczęściem... Suknia moja będzie zawsze skromna, lecz chędoga, obiad krótki, ale smaczny i kraśny. (wstaje, klaszcząc w dłonie) Oj, oj, tak nam miło będzie pracować razem!

SCENA II.

Kachna — Franek.

Franek (wchodzi środkiem z listami).

Przyniosłem listy z miasta. (kładzie listy na stół i chce odchodzić)

Kachna.

Zostań, Franku, nie uciekaj, dawniej tak lubiłeś ze mną porozmawiać, a teraz unikasz mnie. Powinieneś przecież cieszyć się z szczęścia mojego. Pierścień mam na palcu, będę miała własny domek, męża, który mnie będzie kochał.

Franek (powtarza w zamyśleniu).

Który mnie będzie kochał... (spostrzega się) Tak, prawda, powinienem się cieszyć z twojego szczęścia, Kachno... wiesz, że ci dobrze życzę.

Kachna.

Wiem, mój Franku, wdzięczna ci też będę całe życie za to, że mnie broniłeś zawsze od złego. Tyś uczciwy, dobry chłopiec ale bądź weselszym.

Franek (na stronie).

Boże!

Kachna (na stronie).

Smutek jego — serce mi przeszywa. (biorąc rękę Franka) Tyś chory pewnie? Uciekasz od ludzi, gwar cię męczy, co ci dolega? (puszcza rękę Franka)

Franek.

Zdrów jestem z łaski Boga. (po chwili) Sierocie nie wolno chorować; jam stworzony do pracy.

Kachna (z boleścią i wyrzutem).

Dlaczego to? Wszakże nie daliśmy ci uczuć twego sieroctwa? Franku, wszak-

że my wszyscy pracujemy i Bóg nas na to stworzył?

Franek.

Źle się wyraziłem, Kachno, daruj. — (na stronie) Sam nie wiem co mówię, — patrząc na nią, rozum tracę. (głośno) Kachno, jam wiele winien ojcu Jakóbowi i tobie... wdzięczność dla was zachowam do grobu i poniosę ją tam, (pokazuje w niebo) do Stwórcy. Ale...

Kachna.

Ale... dokończ, nie urywaj, a lżej ci będzie.

Franek.

Ale to sieroctwo moje nieraz mi jest ciężarem strasznym... i dlatego na nie wymyślam.

Kachna.

Użal mi się tak zawsze; wiesz, Franku, że cię kocham jak brata.

Franek (powtarza smutnie na stronie).

Jak brata!

Kachna.

Chowaliśmy się razem od maleńkich dzieci; powinieneś mieć zaufanie do mnie jak do siostry.

Franek (ze smutkiem na stronie).

Jak do siostry... Boże!

Kachna.

Dawniej powiadałeś mi wszystko, co ci dolega, co cię niepokoi, o czem myślałeś — pamiętasz? A teraz chodzisz ponury, milczący, zamknięty w sobie.

Franek.

Niezawsze można być otwartym... jakiś ból krępuje serce i usta... (nieznacznie ociera łzy)

Śpiew nr 2.

Chodzę smutny i ponury,
Patrząc z łzami w jasne chmury,
Bo gdzie dla nas pomoc z nieba,
Tam myśl wznosić ciągle trzeba. } bis
Milczeć tylko serce może,
W Tobie ulgi szukać, Boże!
Kornie schylić trza mi czoła,
Gdzie mnie wola Twoja woła. } bis
Kochać — cierpieć — los okrutny,
Wzrok mój zatem łzami smutny,
Lecz gdy Kachnie dobrze będzie,
W pracy ulgę znajdę wszędzie. } bis
Praca trzeźwi, wzmacnia siły;
Z nią i przykry dzień nam miły;
Chroni ludzi od rozpaczy
I spokojem duszę raczy. } bis

SCENA III.

Kachna — Franek — Dorota.

Dorota (wchodząc środkiem).

Co zanadto, to nie zdrowo! Przyszłam do was, by sobie ulżyć i wam wygadać, co ludzie za podłe plotki o tych zaręczynach wymyślili.

Kachna.

Doroto, nie opowiadajcie nic złego; jam dziś taka wesoła.

Franek.

Nie mówcie, Doroto; Kachna taka szczęśliwa.

Dorota.

No, no, ptaszki, nic takiego; jeszcze nikogo nie powiesili, ani nie udusili. At sobie gadają, aby gadać, że Jaś ledwie rozumu nie stracił, jak się dowiedział, że dostanie posagu 10,000 złotych.

Franek (tupiąc nogą).

Doroto!

Dorota.

Ale cóż się tak srożysz? Toć nikogo jeszcze nie powiesili ani nie udusili?! Gadają tak sobie, że Jan tylko pieniądze kocha, a oczkiem strzela do Rózi...

Franek (zasłaniając jej usta).

Jako żyw, to nieprawda! (do Doroty) Milczcie, na Boga!

Kachna (smutnie).

Boże, mój Boże... może ci ludzie i prawdę mówią?!... (na stronie) W niedzielę widziałam, że Jan więcej z Rózią tańczył niż ze mną.

Dorota (do Franka).

Czego się tak boisz? Ona go jednak nie opuści — chociaż to — (kręci głową) niedobry chłopiec. (głośno) Ale obrzydłe te ozory ludzkie, a stare komoszki to już najgorsze! Choćby im człowiek i usta zamurował, toby uszami gadały.

Kachna.

Kto ci o tem powiadał, Doroto?

Franek.

Nie pytaj się, Kachno; ludzie muszą zawsze coś powiedzieć; nie psuj sobie szczęścia... to tylko zazdrość.

Dorota.

Zazdrość nie zazdrość!

Kachna.

Tak wesoło dziś słonko wzeszło i mnie tak było dobrze na świecie... a teraz. (siada zasmucona, głowę chowając w dłonie)

Franek (z żalem).

Doroto, to wasza wina, nie wydzierajcie ludziom spokoju.

Dorota.

Alboż to Kachnie co zrobiłam?

Franek.

Jedno nierozważne słowo może być trucizną dla bliźniego.

Dorota (trącając Kachnę).

Kachno, nie trzeba tego sobie tak brać do serca, dzieciak jeszcze z ciebie. Czy nie wiesz, że ludzie bez plotek żyć nie mogą?! (Kachna wstaje)

SCENA IV.

Kachna — Franek — Dorota — Jakób.

Jakób (wchodząc z lewej strony).

I o czem sobie gwarzycie? Czy zaszło co nowego? Twarze wasze poważne i smutne.

Dorota.

Plociuchy mają zawsze stare kumy.

Franek.

Nic to, ojcze Jakóbie, nie warto o tem mówić, ale przyniosłem listy z poczty. (podaje Jakóbowi listy)

Dorota (na stronie).

Jakiś list ze sądu, bo wielki. Te listy nic dobrego nie przynoszą; zawsze ich się obawiam.

Jakób (otwiera list, czyta pocichu i drżącym mówi głosem).

Boże... Kachno... jesteśmy ubodzy! (chwieje się) Słabo mi... wody! Boże! (pada na krzesło, Kachna, Dorota, Franek podtrzymują go przerażeni)

Kachna (padając przy Jakóbie na kolana).

Na Boga! tatulu, co wam? Czy jesteście chorzy? Jezu! Jezu!

Franek.

Wody! (wybiega)

Dorota.

A Jezusieńku! co wam, ojcze Jakóbie?

Franek (niosąc wodę).

Tu jest woda.

Kachna (podając Jakóbowi wodę).

Pijcie, czy wam lepiej?

Dorota.

Nie pytaj się, Kachno, mówienie męczy; tu potrzeba odpoczynku. (do Franka) Mówił, że są ubodzy — co to znaczy?

Franek (do Doroty).

Alboż wiem! (do Jakóba) Może się położycie, ojcze?

Jakób (słabym głosem).

Nie... dziatki... to... przejdzie... Bóg mnie wzmocni.

Franek.

Oby wam jak najprędzej dodał siły! (do Kachny) Nie lękaj się, Kachno, to tylko słabość chwilowa.

Dorota (na stronie).

Straszny cios go spotkał; — coby to być mogło? Czy kto umarł, czy proces

przegrał? (do Jakóba) Zapomnijcie, ojcze Jakóbie, o wszystkiem. Pierwsze zdrowie, a macie przecież dla kogo żyć i oszczędzać się.

Jakób.

Prawdę mówicie, Doroto; — jam potrzebny mojej Kachnie.

Franek (chyląc się do nóg Jakóba).

Ojcze Jakóbie, i mnie dopomagajcie radą w jak najdłuższe lata — jam sierota.

Jakób.

I tobie, Franku — i tobie, chętnie bardzo, jeżeli to cenić potrafisz. (całuje Franka w głowę)

Franek.

Wiecie, że was kocham jak ojca.

Dorota (stając przy oknie).

Nie rozczulajcie ojca Jakóba; trzeba go rozweselać. — (patrząc oknem) W sam czas idą goście do was, Stanisław i Jan — może wam przyniosą pociechę i ulgę.

Jakób.

Boże, mój Boże!

Kachna.

Uspokójcie się, tatulu.

Franek.

Bóg nad nami!

Jakób.

Prawdę mówisz — dobry z ciebie chłopiec. Ufajmy w miłosierdzie Pana!

SCENA V.

Kachna — Franek — Dorota — Jakób — Stanisław — Jan.

Stanisław i Jan (razem).

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Jakób.

Na wieki!

Kachna

Witajcie do nas!

Jan.

Jak się masz, miła Kachno? (podają sobie ręce)

Kachna.

Dobrze, Janku, tylko zasłabł nam ojciec.

Stanisław.

A cóż wam to, Jakóbie?

Jakób.

Zgryzota! złe nowiny, przyjacielu — zubożeliśmy w jednej godzinie.

Stanisław (przerażony).

Cóż to znaczy?

Jan.

Nie rozumiem.

Jakób.

Wiedzieliście oddawna, że niemiecki graf mnie procesował o ten kawałek chleba, który dzierżę z łaski Boga; procesował i wygrał. Cieszyliśmy się, że już sprawa skończona, że śmiało zaciągnąć mogę dług i dać Kachnie 10,000 złotych posagu; a wtem zaniósł graf skargę do wyższego sądu... i przegraliśmy oto.

Stanisław (z boleścią).

Chryste!

Jan (ze złością).

To szkaradnie! (Kachna płacze)

Dorota.

To niesprawiedliwie!

Jakób.

Graf pieniędzmi świadków sobie kupił, bo oddawna zawiść w sercu nosi do mojej rodziny.

Dorota.

Czyż mogą być ludzie tak podli? Czemże wytłomaczą przed Bogiem to krzywoprzysięstwo?

Franek.

Czem odpłacą te krzywdy, wyrządzone bliźnim?

Kachna.

Czem nagrodzą ten ból i łzy nieszczęśliwych?

Jakób.

Niestety są takie podłe dusze, które nie pomyślą nawet o karze, ani o nagrodzie po śmierci, bo za mało cenią i znają sprawiedliwość Boga.

Kachna (płacząc).

Mój Boże, mój Boże... i cóż się z nami stanie?!

Jakób (kładąc rękę na głowę Kachny).

Nie płacz, Kachno moja, to wola Boża; podobało się Bogu nas zasmucić — niech imię Jego będzie błogosławione! Masz zdrowe ręce, dziecko moje, pracowitą jesteś; — nie będzie ci źle na świecie — ojciec i twój Jaś cię nie opuszczą.

Franek.

A jeżeli wszyscy o nas zapomną — Bóg będzie nam ojcem.

Stanisław (cicho do Jana).

Ho... ho... to źle się dzieje.

Jan (cicho do Stanisława).

Przepadło w grunt piekła 10 000 złotych!

Dorota.

Jakoś nie macie, Janie, słów, by pocieszyć Kachnę.

Jan.

A cóż jej poradzę?!

Stanisław.

A cóż ma mówić?

Jakób.

Nie swarzcie się... smutku i tak dosyć. Chodźcie, Stanisławie, do sadu, (Jakób wyprowadza Stanisława) pod jabłoń; może tam jaką radę wymyślimy. (Stanisław i Jakób wychodzą środkiem)

SCENA VI.

Kachna — Franek — Dorota — Jan.

(Dorota rozmawia z Frankiem w głębi sceny, przy oknie Jan i Kachna.)

Kachna (z żalem).

Janku... tyś smutny, czy dlatego, że jestem ubogą?

Jan.

Eh!... gdzie tam!

Kachna.

Mam oczy zdrowe, ręce silne, — będę ci szczerze pracowała. Bóg dopomoże, Janku!

Jan.

Pocóż sobie łamać głowę? znajdzie się rada.

Kachna.

Janku, spojrzyj mi w oczy.

Jan.

Dlaczego?

Kachna.

Dlaczego?... Janku, twe serce mi dziś kłamie.

Jan.

Przez łzy patrzysz, — nie widzisz dobrze.

Kachna.

O widzę... widzę...

Jan (patrząc w okno — na stronie).

Jaka śliczna! Co za oczy!

Kachna.

Co tobie? tak się czerwienisz. (patrząc w okno — na stronie) Ujrzał Rózię. Boże!

Jan (odprowadzając Kachnę od okna).

Chodź, Kachno, pójdziemy do sadu, dziś dzień prześliczny; tam są i nasi ojcowie — porozmawiamy razem.

Kachna (smutnie).

Idę... idę... (wychodzą środkiem)

SCENA VII.

Dorota i Franek (zbliżają się do widzów, rozmawiając.

Dorota (z przekąsem).

A co, Franku, widziałeś, jak posmutnieli? Czuły to oblubieniec i kochany przyszły teściulek!

Franek.

Doroto, to są źli ludzie!

Dorota.

Dawno kładłam to w uszy Jakóbowi, a cóż? starej nikt nie wierzy. Każdy mówi: stara lubi plotki. No, no, no, zobaczymy, czy to plotki... (po chwili) Biedna Kachno, ciebie mi żal, twego szczerego serca, które tak wiernie przylgnęło do Jana... Biedna ptaszyna, odboli to niemało.

Franek.

A może też Pan Bóg na dobre to pokieruje? Jan nie wart Kachny.

Dorota.

Alboż ci to sama nie mówiłam? Mojej głowy nikt nie przeprze. Niema złego, któreby na dobre nie wyszło, a nie zawsze to szczęściem, co nam się niem wydaje. — Pamiętam dobrze, lat temu dziesięć, i my z Marcinem, Panie świeć jego duszy, ponieśliśmy wielkie straty przez pożar. Co to było lamentu, rwania włosów i głębokiej troski! Podupadliśmy zupełnie, nie było na potrzeby konieczne, a cóż dopiero na bułki i wódkę. I cóż się stało? Mój Marcin, który dawniej lubił zaglądać do kieliszka, zaczął teraz gorliwie pracować, odzwyczaił się od trunków, stając porządnym człowiekiem. Nasza strata więc, nasz ból wyszły nam na dobre. I tu tak być może — ale gadu, gadu, a tu czas doić krówki. (odchodzi na lewo)

Franek.

Pójdę i ja konie napaść; trzeba ojcu Jakóbowi dopomagać pracą, gdyż niczem innem nie mogę... O, czemuż ja ubogim?! (odchodzi za Dorotą)

SCENA VIII.

Mosiek — (później) *Rózia.*

Mosiek (wchodząc zwolna środkiem).

Nikogo niema, a to co? (woła) Doroto! Czycho... nyc... pewnie są przy robocie; a chcialbym chętnie z Jakóbem pogadać, ile on też Kachnie da posagu, chcialbym każdy grosz dokladnie obliczyć, bo Stanislaw obiecal procent. Sara chce, Sara musi mieć! Jan musial mi przyrzec więcej... Glupi chlopak, kiedy obiecal, niech da! Mosiek weźmie i schowa, bo

on jednak zmarnuje.. glupiec! Ale czycho! — ktoś idzie.

Rózia (wchodząc ostrożnie środkiem).

A... to wy tu, Mośku!

Mosiek.

A co panna Rózia myszlala? Nie ja, czy kot, czy co?

Rózia.

Myślałam, myślałam, że wilk!

Mosiek.

Wilk? A czy ja do wilka podobny?

Rózia.

Czasami.

Mosiek.

Jakto? Wilk ma zielone oczy, a ja mam fajn czarne. Dlaczego ja do wilka podobny?

Rózia.

Bo wilk jest drapieżne zwierzę.

Mosiek.

A czy ja drapieżne zwierzę? Nie mam przecież lap zakrzywionych, a czy ja kogo zjadl? a co ja zrobil?

Rózia.

Co zrobił? Wy sami najlepiej wiecie. Ludzi nieraz namawiacie do wódki, do sprzedaży chaty, zboża, sukmany i zarabiacie grubo... to tak, jak gdybyście byli wilkiem, co ludziom wyrządza krzywdę.

Mosiek (obrażony).

Co panna Róża gada? Niech panna Róża będzie czycho, to nie trzeba tak mówić, to obraza, za to można iść do kozy.

Rózia (śmiejąc się).

Jak to mi wygraża! Mośku, Rózia nie boi się kozy.

Mosiek.

Ja nyc zlego nie robil — to nieprawda!

Rózia (na stronie).

Nie może się uspokoić — trafiłam w samo jądro; dobrze mu, poco ludzi doprowadza do złego?

Mosiek.

Jak panna Róża będzie tak gadać, to chlopcy nie będą kochać, bo oni nie lubią takiego mądrowania, a panna Róża będzie musiala kochać starego Mośka.

Rózia (śmiejąc się).

Ha, ha, ha, dobrze, Mośku, ale trzeba codziennie się umyć i zgolić brodę.

Mosiek.

Brody Mosiek nie zgoli, bo Sara lubi brodę, a myć... poco? Brrrr... żymne. Mosiek nie lubi wody; mówią, rozum zmywa, a Mosiek musi być mądry. Jabym pannie Róży dal do kochania ladniejszego chlopca.

Rózia (z ciekawością).

A którego?

Mosiek.

Ale nie będzie panna Róża gadać, że ja wilk? Bo, bo...

Rózia.

Nie, już nie powiem, a jakiego macie dla mnie chłopca?

Mosiek.

Tu blisko jest, ladny — dobry!

Rózia.

Franek! Co wam to do głowy przychodzi! Frankowi jeszcze nigdy ożenek nie zaświtał w głowie.

Mosiek.

A dlaczego?

Rózia.

To jeszcze dzieciak!

Mosiek.

Ladne dziecko, ma dwadzieścia i parę lat. Mnie panna Róża nie wyprowadzi w pole, wiem ja dlaczego, ale na to jest rada: pięknie mu patrzeć w oczy, to i zapomni o tamtej. Stary Mosiek wie, co to znaczy pięknie patrzeć, co to za sila w ladnych ślipkach, a panna Róża ma oczy jak bliskawice!

Rózia (śmiejąc się).

Ha, ha, ha, uciekajcie, Mośku, bo z tej błyskawicy wypadnie piorun i jeszcze was zabije.

Mosiek (cofając się w głąb).

Nu, nu, już idę — niech no panna Róża pamięta o Franku, a nie mówi na Mośka „wilk“, to pannie Róży dobrze z tem będzie! (odchodzi środkiem)

SCENA IX.

Rózia (sama — po chwili).

Co to za przebiegły żyd! Nie oderwiesz mnie od Jana, nie, nie! Wiem, że ci Stanisław obiecał procent od posagu Kachny... wiem, ale nie zobaczysz go,

Mośku... nie... nie... z tej mąki chleba nie będzie! Ale gdzież oni są wszyscy? Chciałam się dowiedzieć, co tu się dzieje i czy Kachna bardzo zajęta Jasiem. (idzie do okna) A... są w ogrodzie, przynajmniej stąd im się przypatrzę. (po chwili) Kachna płacze, Jaś kwaśny, Jakób i Stanisław przepierają się. (po chwili) Nie wiem, co mnie za siła ciągnie do Jana? I żegnam się krzyżem świętym i modlitwę mówię, a co ciągnie, to ciągnie... Jezus! Marja! czy zły duch?! (po chwili) Serce mi mówi, że Jaś będzie moim. Ale cóż na to wieś cała powie? Co na to powie sumienie? Odmówiłaś oblubieńca Kachnie, poswarzyłaś kumów... ksiądz proboszcz nie da rozgrzeszenia. A nie pragnij tego, uczyli nas, co nie twoje: ani żony, ani wołu, ani osła. (po chwili) Cóż mi ta Kachna zrobiła, że jej taką krzywdę chcę wyrządzić? Wszak ona Janka bardzo kocha, będzie nieszczęśliwa... hm... hm... to prawda, trzeba się poprawić. Pójdę się pomodlić pod figurą, może złe myśli mnie opuszczą. (po chwili z radością) Zobaczył mnie Jan w oknie, jak się ślicznie uśmiechnął! (chwyta się za serce) Jasiu, Jasiu, ja cię jednak kocham!

Śpiew nr. 3.

Niech nas i kilka zwiąże pierścieni,
Serce z niewoli jednak ucieczе!
Wróci, gdzie miłość szczera promieni,
Chociaż swe szczęście nieraz odwlecze.

Jakiż okropny przymus synowi,
Gdy tak rodzica wola go gniecie!
Ciężkim wyrzutem kiedyś odpowie,
Jeśli przykrości walką nie zmiecie.

Szczęście to nasze w chacie ubogiej
Wtedy zabłyśnie jasno i szczerze,
Gdy je ogrzewa ciepła dłoń drogiej,
Gdy się z miłości dwoje pobierze.

(Zasłona spada)

Koniec aktu II.

AKT III.

(Scena przedstawia sad Jakóba; po lewej stronie w głębi widać chatę, przed nią ustawiony warsztat ciesielski; ławka pod drzewem po prawej stronie.)

SCENA I.

Jakób i Franek (obrabiają drzewo przy warsztacie).

Jakób.

Szczerze dla nas pracujesz, Franku; — zaledwie świtało, już byłeś przy warsztacie.

Franek.

Jedyny to sposób, żeby wam wdzięczność swoją okazać, ojcze Jakóbie.

Jakób.

Nie chcę tego i nie żądam, mój synu, abyś dla nas targał siły; za gorliwym jesteś przy pracy.

Franek.

Co ludzie zabrali, ludzie wypracować winni, żeby się powróciła szkoda.

Jakób (smutnie).

Już to dla nas raj stracony! Tę chatę i tę czarną glebę przyjdzie nam opuścić. (po chwili) Wynajmę izbę u kuma i zapracuję na chleb rzemiosłem, a może Pan Bóg nam pobłogosławi.

Franek.

Śniło mi się dzisiaj, że byliście bogatym, ojcze Jakóbie, a mnie spotkało wielkie szczęście... mówiła mi o tem we śnie nieboszczka matka.

Jakób.

Dałby Bóg, żeby się twoje sny sprawdziły, żeby nam weselej było w chacie, bo teraz biedna moja Kachna płacze i płacze... (po chwili) Żal mi dziecka, ale nie żal takiego zięcia.

Franek (z oburzeniem).

O, ten niegodziwiec, jak mógł porzucić Kachnę dla jej ubóstwa?!

Jakób.

Prawda, Franku; aleć dobrze, jeżeli tamtę kocha, że się z nią żeni; to i naszej Kachnie z tem lepiej.

Franek (z uczuciem).

Kachna szczerze kochała Jana; — to boli, ojcze, jak serce nie odpowiada sercu.

Jakób.

Dziwnie mówisz — tak, jakbyś doświadczał tego, mój Franku; sądzę, że ciebie wszyscy kochają i kochać muszą.

Franek.

Miłość miłości nie równa; inaczej czasem pragnie dusza.

Jakób.

I to prawda! miłość Kachny była niewinna i szczera — Jasia udawana, obłudna.

Franek.

Podobno już jutro zrękowiny Jasia z Rózią?

Jakób.

Co, już jutro?!

Franek.

Tak słyszałem.

Jakób.

Nie mów tego Kachnie.

Franek.

Dorota wypaplała, już wie o tem biedactwo.

Jakób.

Dobra kobiecina ta nasza Dorota, ale język u niej na trzy mile. (zdala widać Dorotę) Ale otóż i ona.

SCENA II.

Jakób — Franek — Dorota.

Dorota.

Boże, pomagaj!

Jakób i Franek (razem).

Bóg zapłać.

Dorota.

Zapracujecie się, ojcze Jakóbie; — to nie na wasze stare lata.

Jakób.

Staremu przystoi praca, ale długi język to już nie. Pocóż było powiadać Kachnie, że jutro zrękowiny Jana?

Dorota.

No, no, czy to co złego? Jeszcze nikogo nie powiesili, ani nie udusili! Lepiej, że o tem wie zawczasu, bo i w tej oto chwili byłaby się dowiedziała.

Jakób.

A to skąd?

Dorota.

Bo widzicie, kumie, sumienie ich ruszyło: poszli do kościoła, proboszcz nie chce dać rozgrzeszenia, mają się wpierw z Kachną i wami pogodzić i was przeprosić. Przyszli tu, ale stoją za sadem, bo się wstydzą.

Franek (na stronie).

Teraz się wstydzi — a nie wstydził się kłamać sercem Kachnie.

Dorota.

Franku, idź do chaty, bo przy tobie nie przeproszą; a zawołaj Kachny, — ja

pobiegnę po nich. (Franek wchodzi do chaty, Dorota wychodzi środkiem)

SCENA III.

Jakób — (później) Kachna.

Jakób (siadając pod drzewem na ławce).

I cóż teraz będzie z Kachny mojej? Zadręczy się bólem, zmarnieje — jej serce za tkliwe, za poważne — niestety! kochała Jana. (po chwili) I jakież biedny ojciec wymyśli na to leki? Starzy mówią: klin klinem wybijać. Prawda, ale jak tu sobie poradzić? Bieda każe nam pracować, żeby zarobić trochę grosza na chleb powszedni — nie możemy teraz myśleć o swatach. Zresztą — któż weźmie biedną i wzgardzoną dziewczynę? Ale... jest Bóg nad sierotą i wskaże mi godnego zięcia, który ją oceni i pokocha, a ze mną podzieli ubóstwo.

Kachna (wychodzi z chaty smętna).

Tatulo mnie wołał?

Jakób (zbliżając się do niej i biorąc jej rękę).

Córko moja, rozjaśnij czoło. Ciesz się, że ci, którzy kłamali sercu twemu, opuścili cię na zawsze, bo nigdy nie byłabyś z nimi szczęśliwą. Szukaj tych, co cię

kochają, a są tak blisko ciebie. Tamtym przebacz, bo my wszyscy ułomnymi ludźmi, bo to bliźni twoi, a bliźniego kochać mamy, jak siebie samych.

Kachna.

Nie złorzeczę im — ale boli mnie serce. (Kachna płacze, zdala widać Dorotę, Rózię i Jana; Kachna spostrzegłszy ich, tuli się do Jakóba) Boże! oni!

Jakób.

Idą cię przeprosić; ułatwiaj im, bo łatwiej przebaczać, niż przepraszać.

SCENA IV.

Jakób — Kachna.

(Dorota Rózia i Jan zbliżają się do Kachny)

Dorota.

Kachno, Rózia i Jan proszą, abyś im przebaczyła; jutro ich zaręczyny.

Jan.

Przebacz, Kachno!

Rózia (przystępując do Kachny, wyciąga do niej rękę).

Nie gniewaj się, Kachno; jam walczyła z sobą, lecz coś mnie parło do Jana.

Jan.

A mnie do Rózi.

Kachna (drżącym głosem, podając rękę Rózi).

Niech Bóg wam tak przebaczy, jak ja przebaczam — niech wam błogosławi.

Jakób (podnosząc w górę ręce).

Niech wam błogosławi!

Kachna (podając rękę Janowi).

Idźcie z Bogiem! (Jan i Rózia wychodzą w milczeniu)

SCENA V.

Jakób — Kachna — Dorota.

(Kachna siada na ławce i pochyla głowę)

Dorota (obejmując Kachnę).

Kachno, dobry z ciebie dzieciak! O, będziesz ty bardzo, bardzo jeszcze szczęśliwą. Bóg ci wszystko nagrodzi.

Jakób.

Tak i moje serce mówi. Pójdziesz i ty wkrótce z wianeczkiem do ołtarza, ale przysięgniesz chłopcu równie dobremu, jak ty sama.

Kachna (z wyrzutem — wstając).

Tatulu, co mówicie!

Dorota.

Choćbym ja się domyśliła.

Jakób.

Doroto, Doroto, wasz języczek.

Dorota.

No, no, jeszcze nikogo nie powiesili, ani nie udusili. Cicho już będę, pójdę sobie.

Jakób

Nie, Doroto, zostaniecie teraz przy Kachnie, bo mnie odwołuje pilna sprawa. (odchodzi do chaty)

SCENA VI.

Dorota — Kachna.

Kachna.

Jam wiele przeżyła w tym czasie, Doroto.

Dorota (siadając przy Kachnie).

Za czułą, za dobrą jesteś, Kachno; ktoby to płakał dla chłopca? Mój Jezu, gdym była młodą, codzień bywał inny! Tańczyło się, śmiało i gadało z nimi, ale dla nich płakać? Poco? A ciebie, Kachno, jeszcze wszyscy tak kochają!

Kachna.

Ale jam kochała jednego!

Dorota.

Jednego, jednego, eh! co tam jednego! Wiem jeszcze o jednym, którego może więcej kochasz niż Jana.

Kachna (ze zdumieniem).

Więcej niż Janka?

Dorota.

Nie pytałaś się pewnie jeszcze serca swego, Kachno, — a Franek? Ten serdeczny chłopiec?

Kachna.

Franek?

Dorota.

Zwróć myśli swoje w dziecięce lata. Pamiętasz, Kachno, jak Franek wspólnie z tobą się bawił? jaki był cierpliwy, uważny, jak cię strzegł i bronił?

Kachna.

Pamiętam.

Dorota.

Przypomnij sobie całe jego postępowanie. Co za dusza w tym człowieku, jak on ciebie wiernie kocha od dziecka! Przypomnij sobie.

Kachna.

W pamięci stają te chwile wyraźnie, — tak, to były błogie chwile niewinnych dzieci.

Dorota.

Uważaj, co się dzieje teraz. Widziałam, jak płakał na twych zaręczynach; a i dziś, ile razy na cię spojrzy, łzą mu zachodzi oko. Kachno, powiedz, co nosisz w sercu dla tego dobrego chłopca?

Kachna.

Wdzięczność.

Dorota.

Wdzięczność — i nic więcej? Nie wierzę!

Kachna.

Doroto, Doroto, za wiele żądacie.

Dorota.

Spojrzyj Frankowi w oczy, Kachno, a sobie głęboko w serce, a zrozumiecie się. To niepodobna, żeby tak szlachetne dusze do siebie nie miały należeć! (po chwili) Kachno, wierz mi, Bóg wie co robi; Opatrzność Boża nad losem twoim czuwa, abyś nie wpadła w szpony drapieżnego ptaka.

Kachna.

Co mówicie, Doroto? Przecież Janek...

Dorota (przerywając).

Cicho, duszko moja, nie broń go, ale kochaj Franka. Tak dziwnie na mnie patrzysz, Kachno, — nie lękaj się, jam stara, znam serca ludzkie. Jan troszkę ci zakręcił w głowie, ale to tylko na krótko. Nie byłabyś z nim szczęśliwą, za prędko poznałabyś jego błędy. Dla twej duszy potrzeba duszy czystej jak

kryształ. Rozważ sobie wszystko, Kachno, rozważ; mnie trza pójść do gospodarstwa. (Dorota odchodzi)

SCENA VII.

Kachna — (później) Mosiek.

Kachna.

Rozważać mam... poco? Widzę teraz wszystko trzeźwo i jasno. Dużo prawdy zawierają słowa Doroty. — Poznaję dziś, że miłość moja do Jana była tylko chwilowym szałem, czuję, że ta miłość stygnie, że mnie coś od niego odpycha. Franek? Boże, on dobry, on bardzo dobry, ale im się wszystkim tylko zdaje, że mnie tak gorąco kocha! Wszakżeby mi to teraz powiedział, widząc moje nieszczęście, gdyby mnie rzeczywiście kochał? Widzę go tylko smutnym i milczącym. A może przypuszcza, że go nienawidzę? Lecz porzućmy te myśli, które nam odbierają siłę i spokój, a jedno i drugie nam potrzebne do pracy dla chleba. Trzeba pomyśleć o zarobku, by ojcu przysporzyć, a nie być mu ciężarem. Biedny tatulo, cóż on zrobi? Słaby, stary, skołatany, nie wytrzyma długo przy rzemiośle. Trzeba mi samej radzić o ojcu i o sobie; nie

pozwolę mu na starość tak ciężko pracować, nie, nie.

Mosiek (wchodząc z prawej strony).

Czy ojciec w domu, panno Kachno?

Kachna.

Jest w domu, Mośku.

Mosiek.

Smutna jakoś panna Kachna, poco? Nie żalować chlopca! Tego chwastu dosyć na calym świecie, — nie żalować, bo rośnie on wszędzie.

Kachna.

Nie mówmy o tem, Mośku, lepiej doradźcie mi służbę dobrą, żebym ojcu mogła dopomódz.

Mosiek.

Służbę? poco? Szkoda panny Kachny; ja żyd, ale ja lubię Kachnę, bo uczciwa panna, jabym dal posadę ojcu.

Kachna (zdumiona).

Wy, Mośku?

Mosiek.

Nu, i co za dziwy? To już Mosiek nyc, to już Mosiek na całej kuli ziemskiej nyc ne znaczy? Zobaczy panna Kachna, (bierze się pod boki) ho, ho, ho, Mosiek ma slawę!

Kachna.

Nie gniewajcie się, Mośku, — może macie posadę, wierzę wam.

Mosiek.

Mam i dam ją ojcu, ale trzeba zaplacić; a nie wiecie wy, panno Kachno, czy ojciec ma wiele pieniędzy?

Kachna.

Skądżeż ma mieć pieniądze, jeżeli mu wszystko zabiorą? Gotówki ojciec nie ma; chciał dług zaciągnąć na chatę i glebę, by mi dać posag.

Mosiek.

To źle, bez pieniędzy nyc. (na stronie) Mosiek musi zarobić, Sara chce, bachur potrzebuje. Ona pewnie nie wie, bo mloda jeszcze z niej gąska; przyjdzie stary, to pogadamy.

Kachna.

I gdzież jest ta posada?

Mosiek.

To się nie powiada, bo sprawa się popsuje, — Mosiek sam wie i będzie bużę czycho trzymal.

SCENA VIII.

Kachna — Mosiek — Jakób — Franek.

Jakób (wychodzi z chaty, rozmawiając z Frankiem).

Widzisz, mój synu, to lepiej jak najprędzej, bo człowiek się łudzi niepotrzebnie i jest jak ptak na wylocie; a tak, wyniesiemy się i zaczniemy zarabiać rzemiosłem.

Franek.

Żal mi tej chaty, bo była świadkiem dziecięcych lat moich; lecz wy najlepiej wiecie, ojcze Jakóbie, co czynić wypada.

Mosiek.

A co wy chcieli robić, ojciec Jakób?

Jakób.

Iść na komorne do większej wioski i tam zarabiać rzemiosłem.

Mosiek.

Za lichy chleb, wy już do tego za stary.

Jakób.

Franek mi dopomoże.

Kachna.

I ja przecież, tatulu. Pójdę w służbę, — Mosiek wystara mi się o dobre miejsce.

Franek.

Kachno!!

Jakób.

Co mówisz? Dziecko złote, i ty chcesz opuścić ojca na stare lata?

Kachna.

Tylko dlatego, tatulu, żeby wam dopomódz. Wszyscy nie możemy być razem, bo na to dziś nie mamy. Dorota słaba i stara; jej potrzeba, aby przy was została; ona mnie zastąpi. Serce mnie boli, lecz trzeba, żeby wam pomódz, tatulu.

Franek.

Dniem i nocą pracować będę, lecz nie opuszczaj nas, Kachno, bo słońce zagaśnie w chacie naszej.

Jakób.

Pamiętaj, Kachno, co ci Franek powiedział; odgadł on myśl twego ojca.

Mosiek.

Nie chodzić w służbę, ale kupy się trzymać i gniazda ojcowskiego. Ojciec Jakób, ja mam dla was posadę.

Jakób (z radością).

Co mówisz? jaką?

Mosiek.

Pewien pan bogaty, który ma fabrykę, zawolal mnie i powiedzial: „Mosiek,

w tygodniu wystarasz mi się o uczciwego czlowieka na dozórcę przy mojej fabryce; dostanie 300 rubli pensji i zboża tyle, ile potrzebuje na utrzymanie rodziny. Może mieć nawet liczną, byle byl uczciwy i mnie nie kradl.“ Tak mówil ten pan; a że wy, ojciec Jakób, czlowiek porządny, to ja wam chcę to dać.

Jakób.

Dziękuję wam, Mośku, dobre macie serce.

Mosiek (drapiąc się w głowę).

Ale jabym też chcial co zarobić; wy wiecie, Jakóbie, że Sara chce, że bachur potrzebuje, Mosiek musi zarobić.

Jakób.

Niestety, nic nie posiadam, — Bóg mi świadkiem.

Franek.

A ile chcecie, Mośku?

Mosiek.

Bardzo malo — sto rubli.

Franek (ze zdumieniem).

Aż sto rubli?!

Jakób.

Mośku, przecież my teraz jesteśmy zupełnie biedni.

Franek (na stronie).

Siedmdziesiąt rubli mam — przyniosę i rzucę żydowi. Boże, radź mi, co uczynić z resztą! (biegnie do chaty)

SCENA IX i ostatnia.

Jakób — Kachna — Mosiek — Dorota

(wchodzi głębią — później) *Franek.*

Kachna (prosząc).

Mośku, dobry Mośku, dajcie tatuli tę posadę; pójdę w służbę, to wam oddam poźniej te sto rubli.

Mosiek.

Posada będzie zaraz, to i sto rubli musi być zaraz. — Mosiek potrzebuje, musi kupić towaru do karczmy, musi zaplacić dzierżawę.

Franek (wracając z woreczkiem pieniędzy).

Mośku, zaoszczędziłem sobie 70 rubli. Oto je macie, lecz dajcie tę posadę ojcu Jakóbowi.

Jakób (powstrzymując Franka).

Synu mój, co chcesz czynić?!

Kachna.

Franku, jakiś ty dobry!

Mosiek.

Nu, dobrze, dam posadę, ale dajcie jeszcze i tę resztę, inaczej nie mogę, nie, nie mogę.

Franek.

Jak tylko ojciec Jakób będzie na posadzie, to, Mośku, odsłużę resztę.

Jakób (przerażony).

Jakto?

Mosiek.

Jakto wy myślicie, Franek?

Franek.

Prosta rzecz: zawsze macie na karczmie kogoś do pomocy, pójdę do was służyć za te 30 rubli.

Jakób i Kachna (razem).

Franku!

Mosiek.

Nu, to dobrze, wyście dobry chlopak; ja was biorę, zgoda.

Jakób (z wzruszeniem).

Synu mój, tej ofiary od ciebie przyjąć nie mogę.

Kachna.

Franku, jakiś ty zacny!

Dorota (do Kachny).

Czy poznajesz teraz, Kachno, co złoto prawdziwe?

Kachna.

Nie zawstydzajcie mnie, Doroto!

Franek (z uczuciem).

Ojcze Jakóbie, winienem wam całe swoje wychowanie, winienem wam tyle szczęśliwych chwil w życiu, przyjmijcie więc tę małą ofiarę.

Jakób (przyciskając Franka do serca).

Synu mój, ani jednej, ani drugiej ofiary od ciebie przyjąć nie mogę. Tyś pracował, oszczędzał, odmawiał sobie wszystkiego, by uciułać trochę grosza, a ja miałbym ci zburzyć całą twoją nadzieję na przyszłość?

Franek (pochylając się do nóg Jakóba).

Ale ja was błagam o to, ojcze Jakóbie! Jeżeli nie macie względu na me

szczere prośby, miejcie wzgląd na waszą Kachnę!

Dorota.

Mam i ja trochę grosza, — te 30 rubli dam wam, Mośku, za Jakóba, a Franek niech będzie wolnym. A wy, ojcze Jakóbie, przyjmijcie tę pożyczkę od Franka, pamiętajcie o waszych starych latach.

Mosiek.

Zgoda! pósada będzie jutro napewno.

Jakób.

Poczciwa Doroto, i ty, mój Franku, chodźcie do mnie; piersi moje nie pomieszczą chyba tych uczuć, które mną owładnęły. Bóg wszechmocny niech wam zapłaci! (podaje im ręce, osłabiony siadając na ławce)

Dorota.

Nie wzruszajcie się tak, ojcze Jakóbie, to zdrowiu szkodzi. Wszakże my was rozumiemy, kochamy i wdzięczność wam winniśmy, Franek i ja.

Jakób.

Doroto, do śmierci zostańcie pod moim dachem; zastąpcie matkę mej Ka-

chnie. (Dorota płacze) Franku, nie mam słów dla ciebie! (z wielkiem wzruszeniem) Tobie inna należy się nagroda. Kachno, chodź do nas; (Kachna zbliża się) przekonałaś się, jak zacną duszę ma Franek; przekonałaś się, jak cię kocha... przyjmij go za męża!

Franek (z radością).

Boże!

Kachna (z wzruszeniem).

Tatulu!

Jakób.

Najlepszego przyjaciela daje ci ojciec.

Franek.

Kachno, jedno słówko.

Kachna (podając mu obie ręce).

Jam twoją!

Franek.

Boże, dzięki Ci! (przyciska Kachny ręce do piersi)

Mosiek (ze wzruszeniem na stronie).

Co to za dobrzy ludzie! Co to za godne serca! A ojciec Jakób to tak, jak nasz stary patrjarcha Jakób. (głośno) Nu, nu, i Mosiek nie z kamienia i Mosiek ma serce — nie chcę sto rubli za posadę. Nu, dajcie tylko pięćdziesiąt —

nu niech, mniej nie można, bo Sara chce, bo bachor potrzebuje.

Jakób.

Niech ci Bóg nagrodzi, Mośku! A wy, Kachno i Franku, dziękujcie Opatrzności Boskiej, że temi drogami was wiodła, bo ojcowskie moje serce wróży wam szczęście.

Śpiew nr. 4. (Chór)

Gdy zatli miłość w sercu człowieka,
Niech losy swoje Bogu powierzy,
Z gorącą wiarą ufa i czeka,
Aż ziemskie szczęście Stwórca wymierzy.

Odziewa lilję szatą śnieżystą,
Przystraja trawę w zieleń majową,
Da tobie chatę ciepłą i czystą,
Lecz dziel się z Panem serca połową.

Da gniazdko ptakom, daje ziarneczko,
A słońce jasne grzeje ich dzieci;
Dziękują Bogu dźwięczną piosneczką,
Co zrana w niebo rosą uleci.

(Zasłona spada)

KONIEC.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTETU ŁÓDZKIEGO

(Ciąg dalszy okładki.)

Po 3 zł.

73. *Gregorowicz.* Werbel domowy. (Pod pantoflem) Obr. lud. 1 a. 4 m., 2 k.
74. *Anczyc.* Chłopi arystokraci. Szkic dram. 1 a. 6 m., 3 k.
75. *Anczyc.* Łobzowianie. Obraz. dram. 1 a. 7 m., 3 k.
76. *Anczyc.* Błażek opętany. Krot. 1 a. 5 m., 3 k.
77. *Anczyc.* Flisacy. Obraz. lud. 1 a. 6 m., 2 k.
78. *Kołodziej.* Górnicy. Obraz. dram. z tańcami. 5 a. 14 m., 9 k.
79. *Kołodziej.* Obieżysasi. Obraz lud. 4 a. 11 m., 5 k.
80. *Clairville i Thiboust.* Sto za sto. Kom. 1 a. 2 m., 2 k.
81. *Lasocki.* Huzar i woltyżer. Kom.-op. 1 a. 4 m., 2 k.
82. *Honoré.* Grzeszki babuni. Wod. 1 a. 1 m., 2 k.
83 *Kucz.* Godzina u dziennikarza. Krot. 1 a. 10 m., 2 k.
84. — — Rodzina Mazurów. Kom.-op. 1 a. 4 m., 2 k.
85 *Simonin.* Kolczyk brylantowy czyli Państwo Staruszkowie. Kom.-op. 1 a. 3 m., 1 k.
86. *Duru i Chivot.* Zbytek mojej żony. Kom. 1 a. 5 m., 4 k.

Po 6 zł.

97. *Klepaczewski.* Nasi wieśniacy. Dram. lud. z tańcami, 5 a. 6 odsł. 18 m., 11 k.
98. Los sieroty czyli Niewinność zwycięża. Obrazek z rzeczywistego życia. 9 odsł. 4 m., 4 k.
99. *Domnik.* Stare Miasto (Na Chwaliszewie). Sztuka 4 a. z tańcami. 17 m., 8 k.

Po 8 zł.
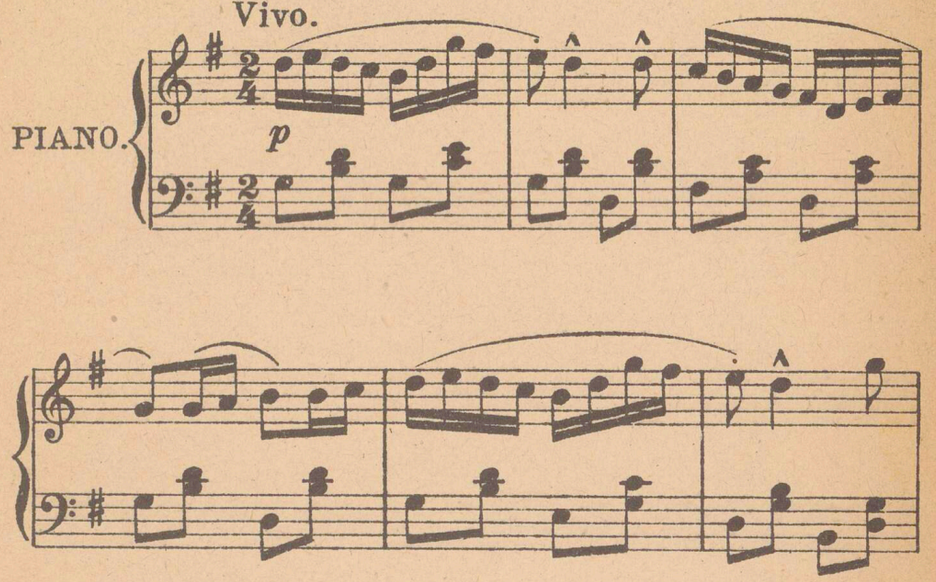
100. *Galasiewicz i Mellerowa.* Pan Zołzikiewicz. (Szkice węglem Sienkiewicza) Obraz dram. 5 odsł. z tańcami. 15 m., 6 k.
101. *Kamiński.* Skalmierzanki czyli Koniki Zwierzynieckie. Kom.-op. 3 a. 9 m., 7 k.
102. *Galasiewicz.* Czartowska Ława. Dram. lud. 4 a. 15 m., 9 k.
103. *Galasiewicz i Mellerowa.* Chata za wsią. Dram. lud. 5 a. 18 m., 11 k.
104. *Karwatowa.* Na służbie. Sztuka lud. 5 a. z tańcami. 10 m., 8 k.
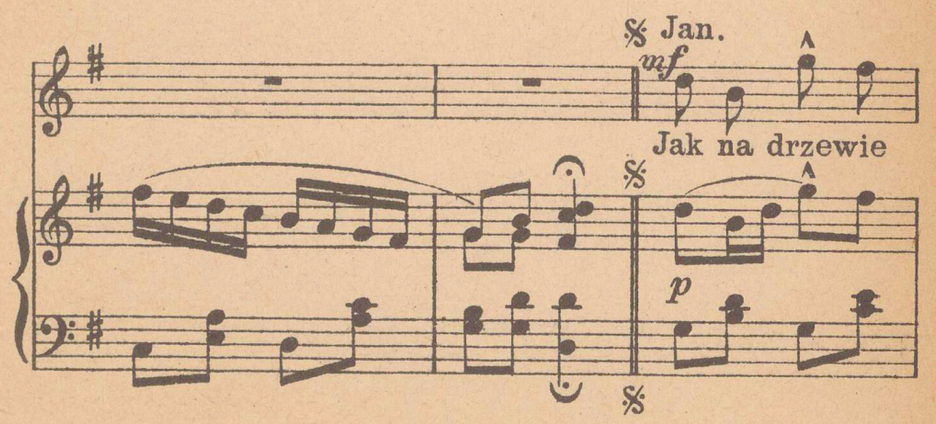
71. KACHNA.

Anna z Bardzkich Karwatowa.

Muzyka Stanisława Ogurkowskiego.

Nr. 1.
Krakowiak.





Nakładem A. Cybulskiego w Poznaniu. 71 Drukiem C.G Rödera w Lipsku

jabł-ko Słoń-ce zaczer - wie - ni,

Tak dziś pierścień zło-ty Kachnę nam ru -

mieni. Oj da - na, oj da - na

Zyj, Kach-no ko - cha-na! Oj da - na,
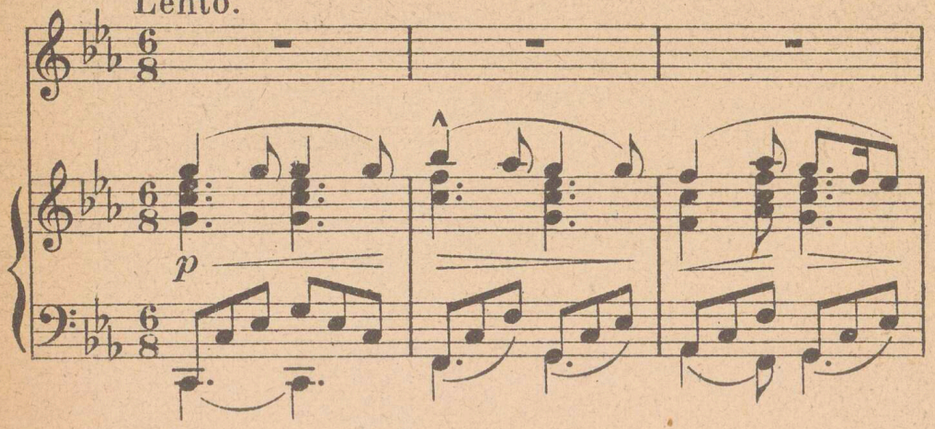
oj da - na, Żyj, Kachno ko - cha - na!
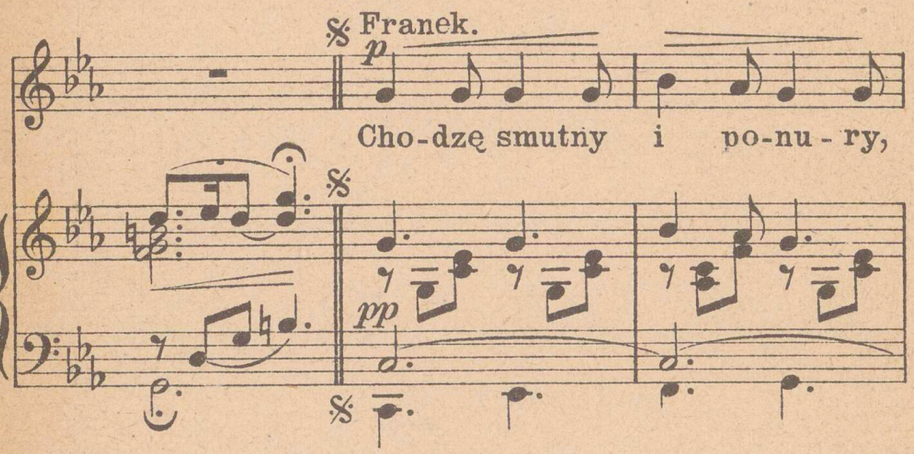
f
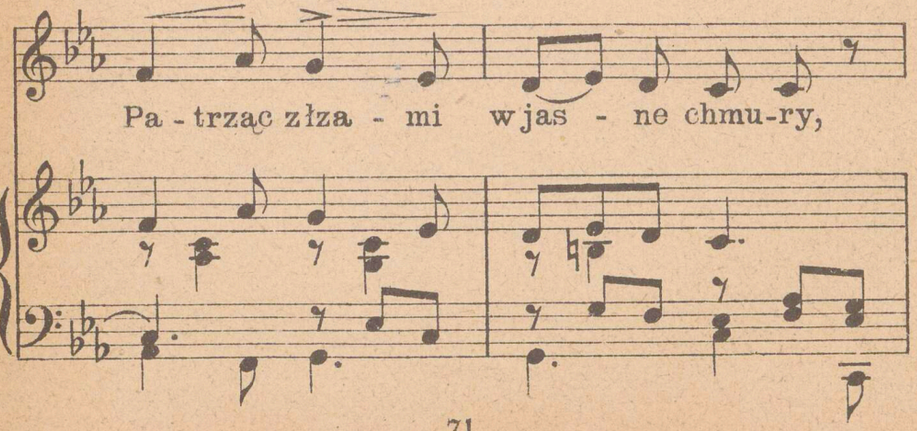
1.2. 3.
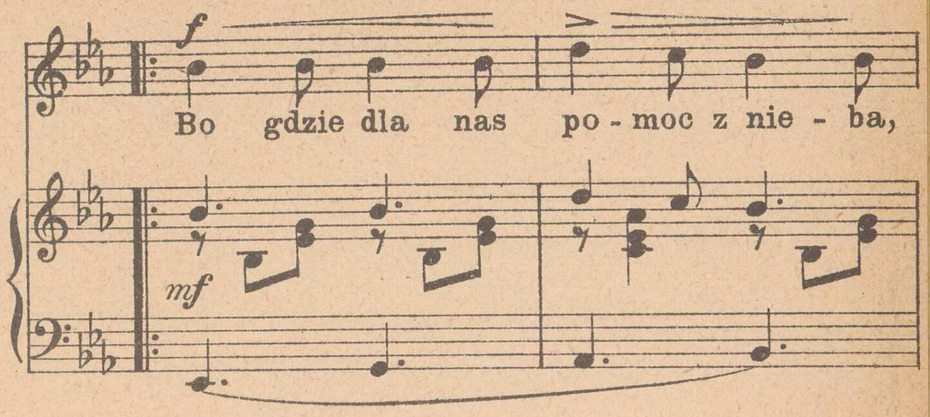
D.S.𝄋 *Fine.*
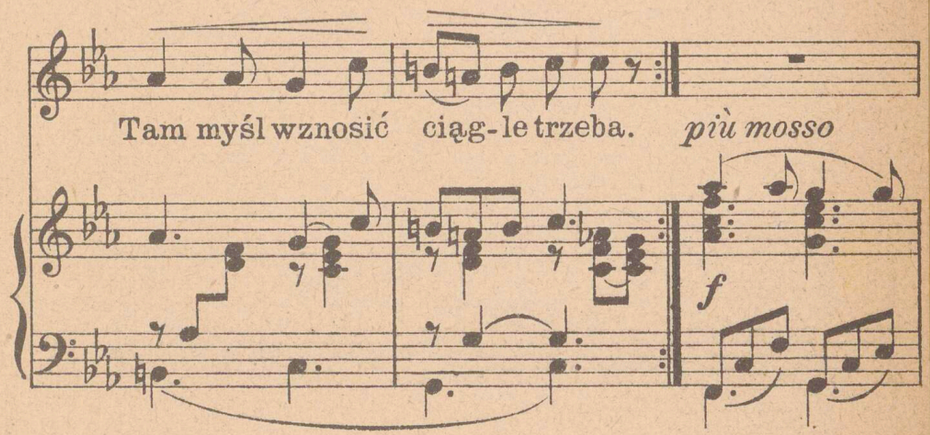
Nr. 2.
Dumka.
Lento.
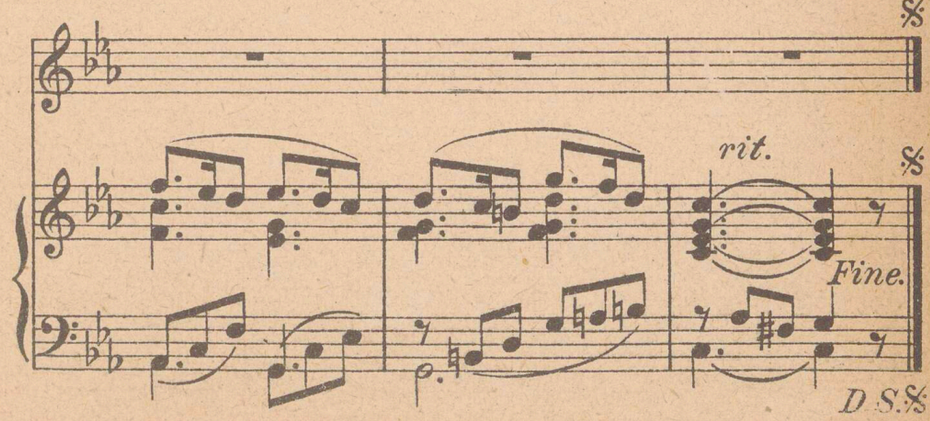












Nr. 3.

Andante.

mf

Rózia.

Niech nas i kil - ka zwiąże pierście - ni,

rit. *p*

Ser - ce z nie - wo - li jed-nak u - cie - cze!

cresc. *f*

Wróci, gdzie miłość szczera promieni, Chociaż swe szczęście

mf *cresc.*

dim.

nieraz odwlecze.

più mosso

1.2. 3.

D.S. *Lento.*
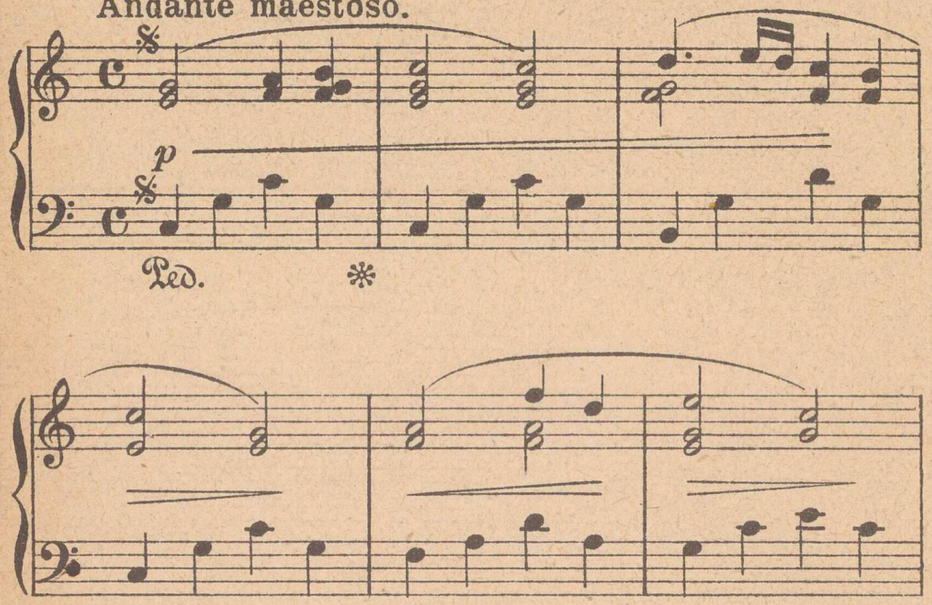
rit. *Fine.*
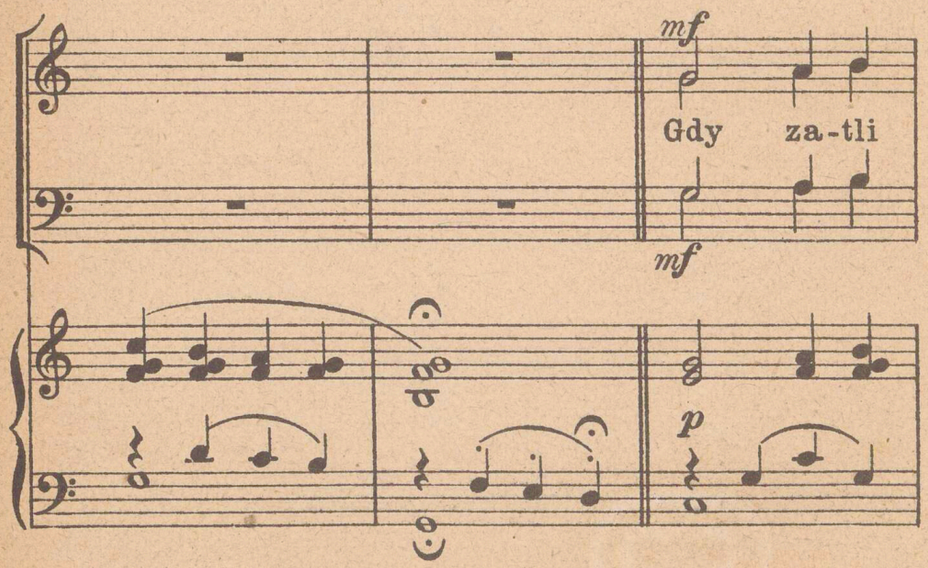
D.S.
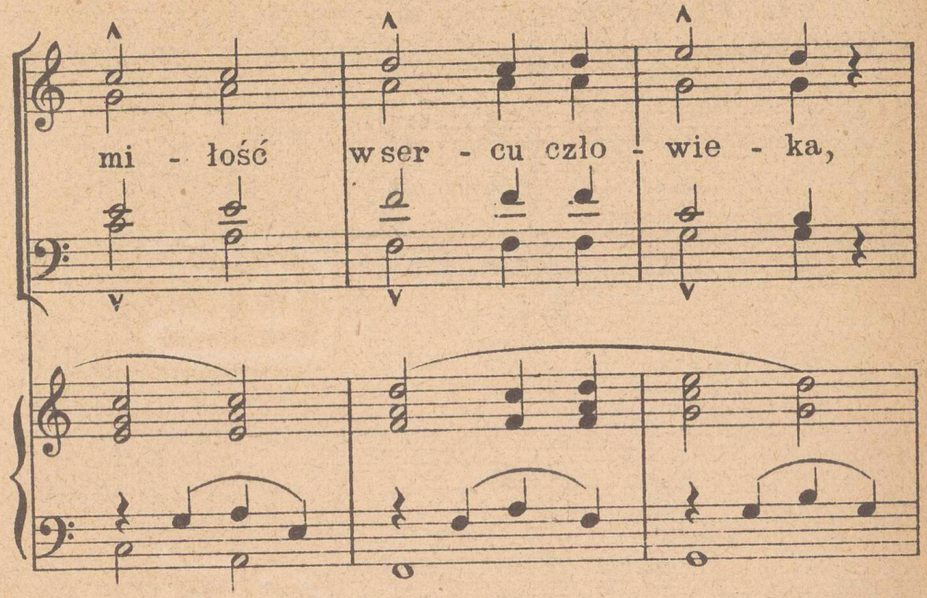
Nr. 4.
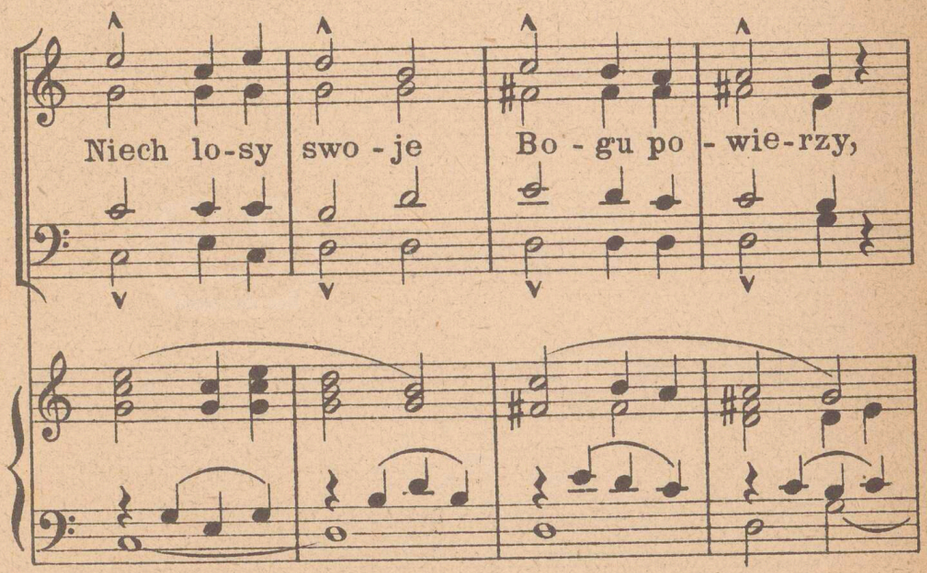
Chór finalny na głosy mieszane.
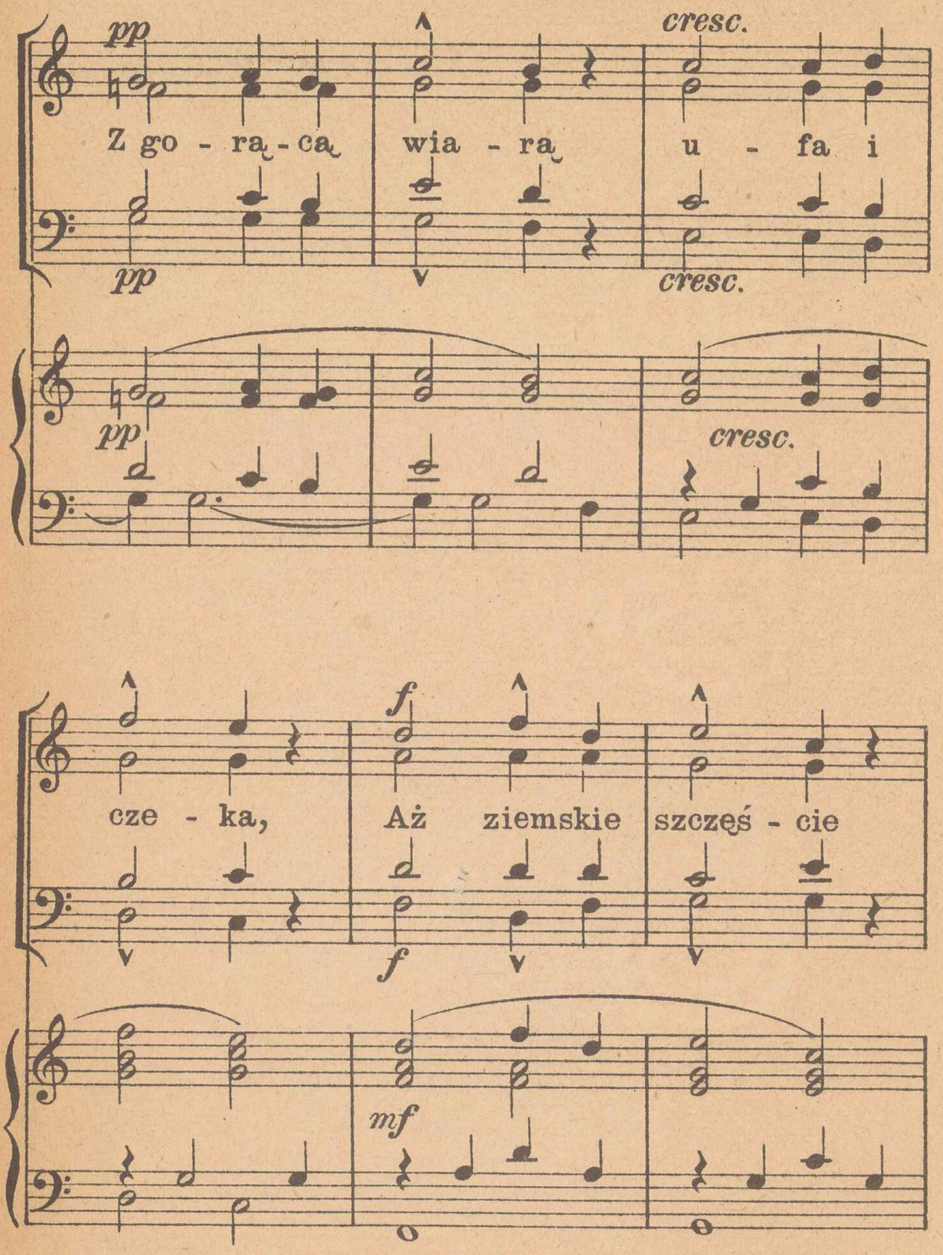
Andante maestoso.
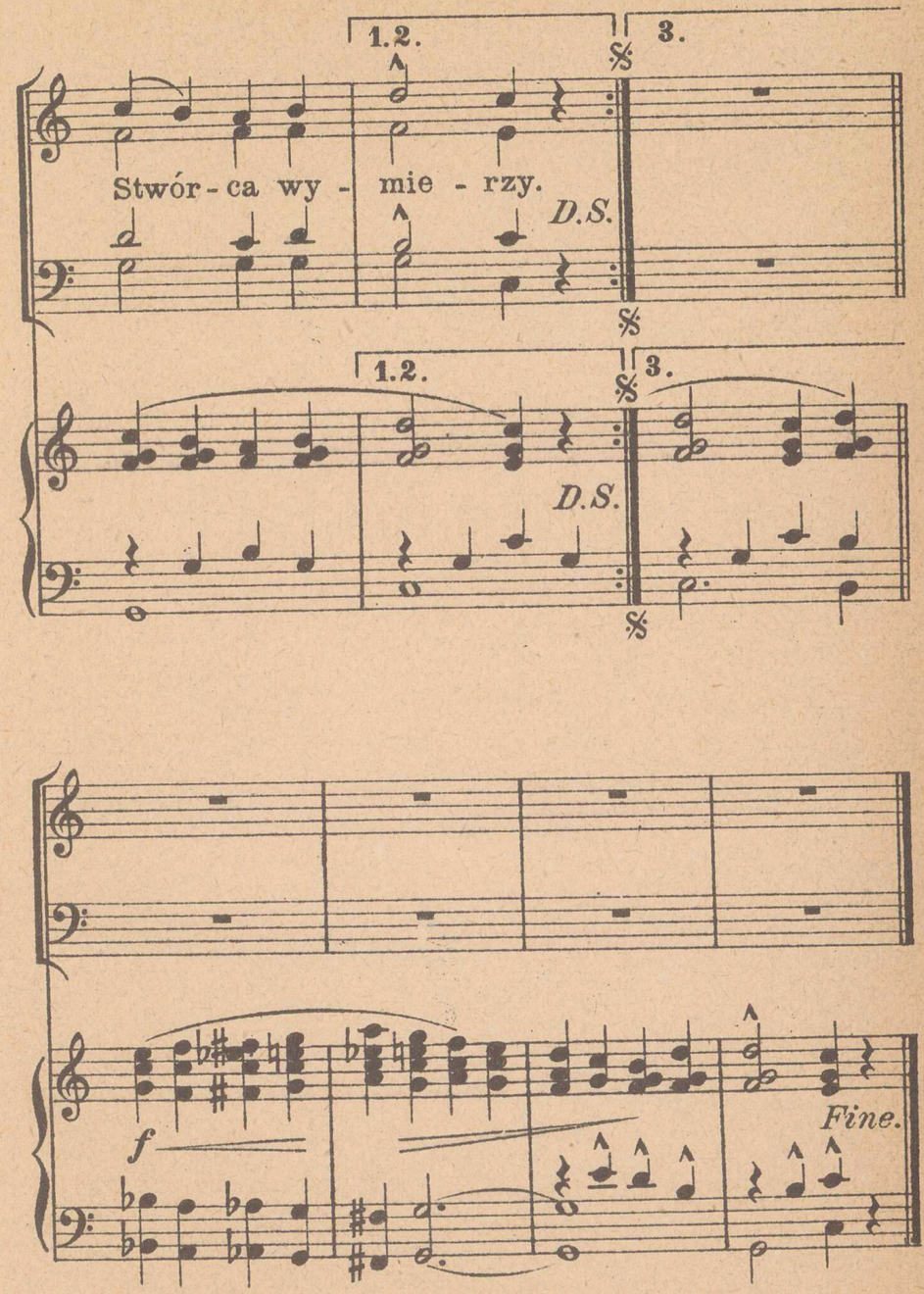









pp
Z go - ra - ca
wia - ra
cresc.
u - fa i
pp
cresc.
pp
cresc.
f
cze - ka,
Aż ziemskie szczęś - cie
f
mf


1.2.
3.
Stwór - ca wy - mie - rzy.
D.S.
1.2.
3.
D.S.
f
Fine.

200 —
420606/83

BUŁ
20000000634041

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
W ŁODZI

M 38401

Zr2004914804



NAKŁADEM KSIĘGARNI A. CYBULSKIEGO W POZNANIU.
CZCIONKAMI DRUKARNI „DZIENNIKA POZNAŃSKIEGO": T. A.
1926.